Bezpłatny dodatek do nr 279. „Głosu Narodu"

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr 41 Kraków, niedziela, dnia 10 października 1937 r. Rok II

Prawda o wojnie domowej w Hiszpanii

List Zbiorowy Episkopatu Hiszpanii*)

III.

Dziś zamieszczamy trzecią i ostatnią część listu pasterskiego Episkopatu Hiszpanii. Przynosi m. in. bardzo ciekawą ocenę „ruchu narodowego" Hiszpanii z punktu widzenia katolickiego. List pasterski kończy się apelem do katolików całego świata o modlitwę za sprawę katolicyzmu w Hiszpanii i o rozpowszechnianie prawdy o wojnie domowej.

Rewolucja ta zdeptała najelementarniejsze zasady „prawa narodów". Wystarczy przypomnieć sobie więzienia w Bilbao, gdzie tłum w nieludzki sposób mordował setki uwięzionych; środki odwetowe, stosowane na zakładnikach, strzeżonych na okrętach i w więzieniach, męczonych z powodu niepowodzeń militarnych; masowe rzezie, gdy związanych jeńców koszono karabinami maszynowymi, bombardowanie otwartych wsi, pozbawionych obiektów wojskowych.

Rewolucja ta była z istoty swej „antyhiszpańska". Dzieło zniszczenia dokonało się przy okrzykach: „Niech żyje Rosja", pod osłoną międzynarodowego sztandaru komunistycznego. Napisy na murach, wychwalanie cudzoziemców, komendy wojskowe, oddane w ręce dowódców rosyjskich, ograbywanie narodu na korzyść obcych, hymn międzynarodowy komunistów, wszystko to świadczy dostatecznie o nienawiści do ducha narodowego i do uczuć patriotycznych.

Ale nad to rewolucja ta była „antychrześcijańską". Sądzimy, że nigdy dotąd w dziejach chrześcijaństwa i w tak niewielu tygodniach nie nastąpił tak szalony wybuch nienawiści przeciw Jezusowi Chrystusowi i Jego świętej religii. Spustoszenie tak świętokradcze, że delegat komunistów hiszpańskich wysłany na kongres bezbożników do Moskwy, mógł oświadczyć: „Hiszpania daleko prześcignęła Sowiety, bo kościół w Hiszpanii został całkowicie zgładzony".

Męczenników oblicza się na tysiące; ich świadectwo jest nadzieją dla naszej biednej ojczyzny; może nie znaleźlibyśmy w Martyrologium rzymskim ani jednego rodzaju męczeństwa, którego nie stosowaliby komuniści, nie wyłączając ukrzyżowania, z drugiej strony nowoczesne wynalazki i maszyny pozwoliły na nowe rodzaje mąk.

Nienawiść do Jezusa Chrystusa i do Najświętszej Panny doszła do paroksyzmu; kiedy słyszymy o setkach pokłutych krucyfiksów, o obrazach Matki Bożej znieważonych w sposób bestialski, o plakatach rozwieszonych w Bilbao, gdzie świętokradczo bluźniono Matce Bożej, o obrzydliwej literaturze w komunistycznych rowach strzeleckich, gdzie ośmieszano święte tajemnice, o częstych profanacjach świętych obrazków, możemy domyślać się nienawiści piekła, ucieleśnionego w owych nieszczęsnych komunistach. „Przysiągłem, że się pomszczę na tobie" — wołał jeden z nich do Zbawiciela, zamkniętego w tabernakulum — i strzelając do niego z pistoletu, dodał: „Poddaj się czerwonym, poddaj się marksizmowi".

Profanacja świętych relikwij była przerażająca: zniszczono albo spalono ciała św. Narcyza, św. Paschalisa Bailon, bł. Beatrycy de Silva, św. Bernarda Calvo i wiele innych. Rodzaje tego zbeszczeszczenia były tak nieprawdopodobne, że można je tylko przypisać podszeptom diabelskim. Dzwony rozbito i przetopiono. Zniesiono całkowicie nabożeństwa na całym terytorium komunistycznym, z wyjątkiem małej części na północy. Wielka ilość świątyń, pomiędzy nimi prawdziwe klejnoty sztuki, zupełnie spustoszono: do tego bezecnego dzieła zmuszano także biednych kapłanów. Słynne obrazy, które od wieków cieszyły się szczególną czcią, zaginęły na zawsze, zniszczone albo spalone. W niektórych miejscowościach władze zmusiły obywateli do oddania wszystkich przedmiotów religijnych, stanowiących ich własność prywatną, aby je zniszczyć publicznie; można sobie wyobrazić, jak to obraża prawo naturalne, jaką szkodę wyrządza się więzom rodziny i jaki gwałt zadano sumieniu chrześcijańskiemu.

Nie zamierzamy, Czcigodni Bracia, przedłużać krytyki komunistycznej działalności w naszej ojczyźnie i pozostawiamy historii troskę o wierne przedstawienie faktów. Jeżeliby nam zarzucono, że w tak bezwzględnych słowach przedstawiliśmy bezeceństwa naszej rewolucji, na swoje usprawiedliwienie powołaliśmy się na przykład św. Pawła, który bez wahania w najsurowszych wyrazach pomścił pamięć proroków Izraela i który dla wrogów Boga ma najtwardsze słowa; albo też na Ojca św., który w swej Encyklice o bezbożnym komuniźmie mówi o „tak przerażającym zniszczeniu, popełnionym w Hiszpanii z nienawiścią, barbarzyństwem i dzikością, które w naszym wieku uważałoby się za niemożliwe".

Powtarzamy słowa przebaczenia dla wszystkich oraz zamiar wyświadczenia im jak najwięcej dobrego. I kończymy ten urywek, cytując z „Sprawozdania urzędowego" o wydarzeniach rewolucji w jej pierwszych trzech miesiącach następujące zdanie: „Nie należy narodu hiszpańskiego oskarżać o nic innego, jedynie o to, że stał się narzędziem do wykonywania tych zbrodni..." Owa nienawiść do religii i do tradycyj patriotycznych, udowodniona faktem, że tyle skarbów zginęło na zawsze, „owa nienawiść przyszła z Rosji, przyniesiona przez ludzi Wschodu o znieprawionym duchu". Na uniewinnienie tylu ofiar, usidlonych przez „szatańską naukę", przypomnijmy, że ogromna większość naszych komunistów, przez prawo skazanych, w chwili śmierci pogodziła się z Bogiem swych ojców. Na Majorce tylko 2 proc. umarło niepogodzonych; na południu nie więcej niż 20 proc., a na północy może nawet nie 10 procent. Jest to dowód, że lud nasz stał się ofiarą oszustwa.

7. RUCH NARODOWY: JEGO CHARAKTER.

Spróbujmy teraz wyjaśnić charakter ruchu, który według naszego zdania bardzo słusznie zowie się narodowy; naród hiszpański bowiem w ogromnej większości oddalił się sercem od państwa, które nie umiało urzeczywistnić jego konieczności i najgłębszych pragnień i ponieważ witano ten ruch jako nadzieję dla całego narodu. W obszarach nie wyzwolonych, ruch ten czeka tylko na chwilę, by rozbić pancerz sił komunistycznych, które go tłumią. Jest narodowy także w swych celach, skoro dąży do ocalenia i do zachowania na przyszłość głębokiego nurtu życia narodu, zorganizowanego w ramach państwa, które umie być godnym następcą swych dziejów. Wyrażamy tu rzecz realną, powszechne pragnienie obywateli hiszpańskich; nie mówimy o metodach realizacji.

Ruch ten wzmocnił przywiązanie do ojczyzny przeciw obcym i przeciwnym mu siłom. Ojczyzna znaczy ojcostwo; jest to ośrodek moralny jakoby licznej rodziny, pozwalającej obywatelowi na rozwinięcie wszystkich zdolności; ruch narodowy wywołał potężny prąd miłości, koncentrujący się koło nazwy i istotnej historii Hiszpanii a odrzucający obce pierwiastki, które sprowadziły ruinę. A ponieważ miłość ojczyzny, która w miłości Chrystusa, Boga naszego i Pana, przyjęła charakter „nadprzyrodzony", wznosi się na szczyty miłości chrześcijańskiej, dlatego byliśmy świadkami prawdziwego wybuchu miłości, owej miłości, której najlepszym wyrazem jest krew tysięcy obywateli, przelana z okrzykiem „Niech żyje Hiszpania", „Niech żyje Chrystus Król".

W łonie ruchu narodowego dokonał się cud męczeństwa (to Papież użył wyrazu: prawdziwe męczeństwo) tysięcy Hiszpanów: kapłanów, zakonników i świeckich; a to świadectwo krwi będzie musiało w przyszłości pod grozą ogromnej odpowiedzialności politycznej wpłynąć na czynności tych, którzy po ukończeniu wojny w pełni pokoju budować będą nowe państwo.

Ruch ten zabezpieczył porządek na terytoriach, nad którymi panuje. Porównajmy położenie tych obszarów, w których zwyciężył ruch narodowy, z położeniem prowincji, gdzie rządzą komuniści. Do ostatnich można zastosować słowa Mędrca: „Gdzie nie ma rządcy, lud upadnie". Bez kapłanów, bez kościołów i nabożeństw, bez sprawiedliwości i władzy, są one wydane na łup przerażającej anarchii, na głód i nędzę. Drugie zaś obszary, mimo wysiłków i utrapień wojennych, żyją w ciszy ładu, pod opieką prawdziwej władzy, podstawy sprawiedliwości, pokoju i postępu, od czego zależy szczęście społeczeństwa. Podczas gdy w Hiszpanii marksistowskiej ludzie żyją bez Boga, w obszarach nietkniętych albo odzyskanych odprawia się kult religijny i nowe przejawy życia chrześcijańskiego mogą się swobodnie rozwijać.

Takie położenie pozwala się spodziewać w przyszłości sprawiedliwego i pokojowego ustroju. Nie ośmielamy się wypowiedzieć żadnych przepowiedni. Nasze trudności są bardzo wielkie. Rozluźnienie więzów społecznych, zwyczaje skorumpowanej polityki, brak poczucia obowiązków obywatelskich, brak sumienia naprawdę katolickiego, spory o rozwiązanie naszych wielkich zagadnień narodowych, wymordowanie tysięcy wybitnych mężów, powołanych z urzędu i dzięki uzdolnieniu do dzieła narodowego, nienawiść i drożyzna jako skutki każdej wojny domowej, obca ideologia, która narzuca się państwu i dąży do usunięcia myśli i wpływów chrześcijańskich, wszystkie te trudności zagrażają pracy nad odbudową nowej Hiszpanii, zaszczepionej na pniu naszej starej historii i ożywionej jej sokami. Trudności ogromne. Ale żywimy nadzieję, że gdy się spełni ta przeogromna a tak płodna ofiara, odnajdziemy prawdziwego naszego ducha narodowego. Odnawiamy go krok za krokiem przez ustawodawstwo, ożywione myślą chrześcijańską: w kulturze, w moralności, w sprawiedliwości społecznej i w czci i w kulcie przynależnym Bogu. Oby Jemu na pierwszym miejscu dobrze służono, bo to jest nieodzownym warunkiem, aby także naprawdę dobrze służono narodowi.

8. ODPOWIEDŹ NA NIEKTÓRE UWAGI.

Niniejsze orędzie nie osiągnęłoby swego celu, Czcigodni Bracia, gdybyśmy nie odpowiedzieli na kilka uwag, które doszły nas z zagranicy.

Zarzucono Kościołowi, że w obronie przed ruchem ludowym zamknął się jak w fortecy w swoich świątyniach i przeto spowodował ich ruinę i rzeź kapłanów. — Przeczymy temu. — Napad na świątynię był nagły, prawie równoczesny we wszystkich okolicach, i nastąpił jednocześnie z rzezią kapłanów. Świątynie płonęły, ponieważ były domami Bożymi, a kapłanów zabijano, ponieważ byli sługami Boga. Pełno na to dowodów. Kościół nie był stroną zaczepną. Był pierwszym dobroczyńcą ludu, ucząc wiary i popierając uczynki sprawiedliwości społecznej. Uległ — tam gdzie doszedł do władzy komunizm anarchistyczny — jako niewinna, miłująca, pokój, bezbronna ofiara.

Proszono nas z zagranicy o wypowiedzenie się, czy jest prawdą, że Kościół w Hiszpanii posiadał trzecią część ziemi hiszpańskiej i czy lud się dlatego zbuntował, aby wyzwolić się z ucisku. Jest to oskarżenie śmieszne. Kościół posiadał z tej ziemi tylko nic nie znaczące skrawki: plebanie, domy wychowawcze, a nawet to zabrało mu w ostatnich czasach państwo. Wszystko to, co Kościół w Hiszpanii posiada, nie wystarczyłoby nawet na czwartą część jego potrzeb, a służy mu do dopełnienia najświętszych jego obowiązków.

Oskarża się Kościół o brak rozwagi i stronniczość, ponieważ rzekomo wmieszał się do konfliktu, rozdzielającego naród. Kościół był zawsze po stronie sprawiedliwości i pokoju, a dla wspólnego dobra w wszelkich okolicznościach współpracował z władzami państwowymi. Nie wiązał się z nikim, ani z partiami, ani z osobami, ani z teoriami. Postawiony ponad wszystkimi i wszystkim, spełniał obowiązek nauczania wiary i wzywania do miłości, chociaż odczuwał dotkliwy ból, że go prześladowano i że tylu zbłąkanych synów go odrzuciło. Na dowód tego powołujemy się na fakty i dokumenty, poświadczające to twierdzenie.

Mówi się, że ta wojna jest wojną klasową i że Kościół stanął po stronie bogatych. Kto zna źródła i charakter tej wojny, wie, że tak nie jest. Przyjmując nawet pewne zaniedbania w sprawowaniu obowiązków sprawiedliwości i miłości, które Kościół zawsze jako pierwszy zalecał, to jednak trzeba stwierdzić, że prawo bardzo

(Ciąg dalszy na str. 2)

EUSTACHY ŚCIBOR-RYLSKI — Z cyklu: „To, co jest", 2

INNY ŚWIAT

Jest jakiś świat inny. Mniej barwny,
bez czaru i piękna. Zabawny
koszmar łez przelanych. Z krwi kwiaty
rozkwitły białe. Z łez uśmiechy.
Błyszczące złotem nowe strzechy
w słońcu. Dobrze tu. Ludzie weseli.
Bóg patrzy na nich i Anieli.
Już kopa lat — mówi kalendarz —
od kiedy tu wojenny cmentarz.
Na grobach porosły sosenki
i szumią zapomnień piosenki.

*

Wspominam me lata dziecinne
Co jest, a było — jakżeż inne...

(Dokończenie ze str. 1)

skutecznie chroniło warstwy pracujące i że naród wszedł już był na dobrą drogę lepszego podziału bogactw. Zresztą walka klasowa była w innych krajach znacznie więcej zaogniona. Otóż właśnie w Hiszpanii większość dzielnic ubogich zdołała uchronić się przed okrucieństwami wojny. A w prowincjach, w których zamożność ludu była stosunkowo największa, rewolucja przyjęła szczególnie zacięty charakter. Czyż puścimy w niepamięć nasze ustawodawstwo socjalne i kwitnące nasze instytucje dobroczynności publicznej i prywatnej, wszystkie zrodzone z ducha hiszpańskiego i szczerze chrześcijańskiego? Lud oszukano obietnicami niezniszczalnymi, niezgodnymi nie tylko z życiem ekonomicznym kraju, ale z każdym rodzajem zorganizowanego życia gospodarczego. Położenie tak się przedstawia: z jednej strony dzielnice nienaruszone, gdzie wszystko układa się pomyślnie, z drugiej, pod panowaniem komunizmu — nędza.

Mówi się, że wojna hiszpańska jest tylko epizodem powszechnej walki pomiędzy demokracją a etatyzmem: triumf ruchu narodowego oddałby naród w niewolę państwa. Kościół hiszpański — czytamy w jednym z pism zagranicznych — znajdując się przed dylematem: albo narazić się na prześladowanie rządu madryckiego, albo popaść w niewolę przedstwicieli prądów politycznych, nie mających nic chrześcijańskiego, wybrał niewolę. Otóż nie było tego dylematu, ale raczej: Kościół, zamiast zginąć całkowicie z rąk komunizmu, jak się to dzieje na obszarach przezeń opanowanych, znajduje opiekę u władzy, która odtąd gwarantuje fundamenty wszelkiej społeczności, nie zajmuje się jednak dążnościami politycznymi tej władzy.

Nie zamierzamy przesądzać, co nastąpi w przyszłości po wojnie. Stwierdzamy tylko stanowczo, że nie została wszczęta celem zbudowania państwa autokratycznego na ruinach upokorzonego narodu, lecz na to, aby odrodził się duch narodowy, wsparty na mocy i wolności chrześcijańskiej dawnych czasów. Mamy zaufanie do mądrości mężów stanu, że nie zechcą przyszłemu państwu hiszpańskiemu narzucić obcych wzorów; że będą raczej pamiętali o najgłębszych potrzebach życia narodowego oraz o linii rozwojowej ubiegłych wieków. Każde dobrze zorganizowane społeczeństwo opiera się na solidnych zasadach i z nich czerpie soki żywotne, a nie importowanych teoryj, sprzecznych z duchem krajowym. Życie silniejsze jest, niźli programy, a mądry mąż stanu nie będzie narzucał teoryj, osłabiających najgłębsze siły narodu. Jako pierwsi ubolewalibyśmy, gdyby nieodpowiedzialną autokrację parlamentu zastąpiono niebezpieczniejszą jeszcze dyktaturą, nie opierającą się na narodzie. Żywimy słuszną nadzieję, że tak się nie stanie. Hiszpanię ocaliła w dzisiejszej ciężkiej chwili ciągłość czynników, które od wieków kształtowały jej życie narodowe, oraz fakt, że wielka część kraju w ich obronie porwała się do powstania. Byłoby wielkim błędem przerwać ciągłość ciągłość tej wielkiej linii rozwojowej narodu, ale nie należy przypuszczać, że niebezpieczeństwo takiego błędu zagraża.

Przypisuje się wodzom ruchu narodowego zbrodnie podobne do tych, które popełniał Front Ludowy. „Armia białych, czytamy w jednym z najpoważniejszych czasopism katolickich zza granicy, ucieka się do środków, których nie można usprawiedliwić i przeciw którym musimy zaprotestować... Całość otrzymanych informacyj wykazuje, że biały terror sroży się w Hiszpanii nacjonalistycznej z okrucieństwem, spotykanym prawie w wszystkich rewolucjach... Osiągnięte rezultaty wydają się śmiesznie małe w porównaniu z okrucieństwem metodycznie stosowanym, którym żołnierze się przechwalają". Czcigodny autor tego artykułu jest bardzo źle poinformowany. Każda wojna ma swoje ekscesy; ruch narodowy zapewne miał je również; nikt nie może się bronić z całkowitą równowagą umysłu przeciw wściekłym atakom wroga, który nie zna litości. Potępiając w imię sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej ekscesy, popełnione przez omyłkę albo umyślnie przez podwładnych (a metodycznie wyolbrzymiane przez zagraniczne agencje informacyjne), stwierdzamy, że ów sąd przez nas sprostowany nie odpowiada prawdzie; stwierdzamy, że pomiędzy obu stronami istnieje ogromna przepaść, przepaść nie do przebycia, jeżeli mowa o zasadach sprawiedliwości i sposobach administrowania. Więcej jeszcze, moglibyśmy powiedzieć, że czynności Frontu Ludowego były nieprzerwanym pasmem najokrutniejszych zniewag wyrządzanych sprawiedliwości, Bogu, społeczeństwu i ludziom. Nie można mówić o sprawiedliwości, jeżeli eliminuje się Boga, fundament wszelkiej sprawiedliwości. Zabijać, by zabijać, niszczyć, by zniszczyć, ograbiać przeciwnika, nie uczestniczącego w wojnie — takie są metody postępowania u cywilnych i wojskowych, stosowane przez jednych, których bez kłamstwa nie można przypisywać drugim.

Dwa słowa o problemie nacjonalizmu baskijskiego, tak mało znanym a fałszowanym, który posłużył za broń w walce z ruchem narodowym. Wyrażamy cały swój podziw dla braci baskijskich dla ich cnót obywatelskich i religijnych. Wyrażamy im współczucie z powodu klęski, która na nich spadła, a którą uważamy za własną, ponieważ jest klęską ojczyzny. Wyrażamy im ból swój z powodu zaślepienia, które w tak historycznej i ciężkiej chwili ogarnęło ich przywódców. Ale wyrażamy też nagane, że nie usłuchali głosu Kościoła i że w ten sposób spełniły się słowa Papieża, wypowiedziane w Encyklice o komunizmie: „Wysłannicy zniszczenia, którzy nie są zbyt liczni, korzystają z nieporozumień (katolików), utwierdzają ich w oporze i w końcu szczują katolików jednych przeciw drugim". — „Kto pracuje nad pogłębieniem sporów między katolikami, ściąga na siebie straszliwą odpowiedzialność przed Bogiem i przed Kościołem". — „Komunizm jest zły z samej istoty swojej i nie można dopuścić, by na którymkolwiek terenie współpracowali z nim ci, którzy chcą ocalić cywilizację chrześcijańską". — „Im starsze są dzielnice opanowane przez komunizm, im wspanialsza ich cywilizacja chrześcijańska, tym większe spustoszenie czyni w nich nienawiść bezbożników".

— ■ ■ —

STANISŁAW PAGACZEWSKI

Berlińska niedziela

Berlin, we wrześniu.

Przede wszystkim cisza. Jak na Berlin — to grobowa cisza. Ruch minimalny. Niedzielne przedpołudnie. Nawet ruch pieszych ograniczony do zwykłej, szarej, publiczności. Cały „high life" berliński przebywa na „łonie natury". „Week end" jest tu niezwykle popularny. Każdy właściciel samochodu, motocykla, roweru czy tandemu (b. popularnego w Niemczech) wyjeżdża za miasto i spędza tam całą niedzielę.

BERLIŃSKIE „ZOO"

W Tiergartenie żółkną drzewa. Po spokojnej wodzie sadzawek pływają łabędzie z powagą znajdując przysmaki, rzucane rękoma „solidnych" berlińczyków i berlinianek (a może — berlinek?). W alejach pustawo. Za to w Zoo ruch. Już przed południem zaludnia się ten wspaniały ogród zoologiczny stanowiący chlubę stolicy Rzeszy (n. b. ustępuje on jednak jeszcze wspanialszemu Zoo w Hamburgu). Tutaj pryska powaga obywateli stolicy. Śmieją się starzy i młodzi. Nawet sztywny hitlerowiec w brunatnym mundurze śmieje się na widok pociesznych szympansich skoków. Całe tłumy przyglądają się codziennej gimnastyce lwów albo karmieniu fok. Stałych przyjaciół posiadają trzy hipopotamy; zwierzęta te mogą jeść od rana do wieczora. To też niemal nie zamykają się ich paszcze. Publiczność żywi swych ulubieńców niepomna surowych zakazów. Jest to jeden z rzadkich wypadków niestosowania się obywateli Rzeszy do przepisów władzy.

Tymczasem w kościołach gromadzą się wierni, aby w modlitwie nabrać sił do dalszej walki z wrogiem, który coraz poważniej zagraża. (Rrzecz dziwna, że wśród modlących się widać czasami oficerów Reichswehry — a zdarzyło mi się też raz zauważyć umundurowanego hitlerowca). Katolicy niemieccy są w ciężkim położeniu ale nie tracą wiary w zwycięstwo Prawdy i Dobra. Ofensywa neopogaństwa prędzej czy później załamie się i zostanie odparta przez jednolity front katolicki. Miejmy nadzieję, że czas ten jest niedaleki.

ASFALT LŚNI....

Popołudnie wlecze się spokojnie. Można iść do kina — albo spacerować po alejach licznych parków. Wieczorem ruch zaczyna się wzmagać. Wracają samochody i motocykle — potem całe szeregi rowerów. Rowerzyści mają specjalnie dla siebie wytyczone jezdnie; unika się przez to nieszczęśliwych wypadków, które ułatwia olbrzymi ruch samochodowy. Zapalają się lampy. Asfalt lśni się, jak lustro. Wzmaga się zapach spalin — ów „szampan ulicy", jak mówią Francuzi. Ulice rozjarzają się neonami. Na Charlottenburgstrasse ruch wzmaga się z minuty na minutę. W końcu mkną całe szeregi wytwornych maszyn. Aleją dla pieszych maszerują oddziały młodych. Wszyscy w mundurach partyjnych. U boków zwisają im bagnety. Spojrzenia tych kilkunastoletnich młodzików są zdobywcze i zaczepne. Ufni w potęgę swego munduru śmiało spoglądają na cywilów. Ostatecznie swastyka w klapie marynarki, to nie to, co — mundur... Idą również oddziały dziewcząt. Twarze zdrowe, opalone. Ich umundurowanie stanowi znów rodzaj brunatnych wiatrówek. Tymczasem na Unter den Linden ruch osiąga swe największe napięcie. Reflektory oświetlają wspaniałą Brandenburską bramę.

AUTOMATY.

Suną wysokie, piętrowe autobusy, i autokary. Mimo wielkiego ruchu panuje względna cisza; trudno sobie wprost wyobrazić hałas, jaki by panował przy takim ruchu w którymkolwiek z miast polskich. Sprzedawcy gazet nie podnoszą głosu; wiedzą, że i tak będą zauważeni. Spragnieni berlińczycy wstępują do automatycznych barów i zależnie od upodobania pokrzepiają się wodą sodową lub czymś „konkretniejszym" — następnie kupują w automacie pudełko papierosów, zaopatrują się też w automacie w bilet autobusowy i również automatycznie wskazują do wozu. Automatycznie zapalają papierosa, „resztę" odbierają od konduktora, który również automatem posługuje się przy wydawaniu pieniędzy. Boję się, że wkrótce w Berlinie po ulicach będą chodzić same automaty, wykonywujące pewne, przepisane przez władzę ruchy. Prawdopodobnie byłoby to na rękę czynnikom kierowniczym. Taki stuprocentowy totalizm.

Ale żart na bok... Oddziały młodych maszerują w takt bojowych pieśni, to — być może — automaty, ale te „automaty" ożywia wola zwycięstwa i niesłychana energia. Głównym ich motorem — fanatyzm. Ale — to przynajmniej jest pocieszające — automaty często się psują. Zwłaszcza jak zabraknie myślącej za nich głowy. Przykład mieliśmy w roku 1918. Na nic się zdała cała machina wojenna, gdy nastąpiło rozprzężenie. Inteligencja i bohaterstwo zawsze wezmą górę nad ślepym posłuchem...

...Berlin się bawi. Tłumy krążą po ulicach — tłumy dążą do rozrywkowych lokali. Winter-Garten płonie czerwonymi neonami...

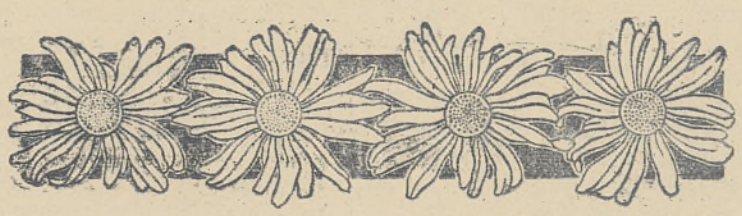

ADAM BAR

Wśród powieści

Zalewające dzisiaj rynek wydawniczy tzw. vies romancées naczęściej nie mają wiele wspólnego ani z powieścią ani z rozprawą naukową. Stojąc pośrodku między tymi dwoma formami, raczą czytelnika zarówno faktami historycznymi, jak i fikcją, wskutek czego nieraz prawda tonie w powodzi słów, którymi autor obficie sztukuje własną fantazję. Z tym wszystkim prawdziwy romans biograficzny należy do rzadkości z tego bodaj względu, że wymaga zarówno głębokiego wyczucia postaci, o której mowa, — epoki, tła obyczajowego, jak też ogromnie ostrożnego posługiwania się fantazją, aby nie zaciążyła nad rzeczywistością. **Alina Świderska**, entuzjastka Wagnera, należy do szeregu niewątpliwie nielicznych pisarzy, dla których romans biograficzny jest istotnie powieścią, a nie rozwodnioną rozprawą, napisaną przez dyletanta. Już w „Prometeuszu i perliczce", pierwszej swojej powieści o Wagnerze, wydanej w zeszłym roku, pokazała, że doskonale rozumie właściwy stosunek pisarza do powieści biograficznej. O ile jednak w tym utworze jeszcze tu i ówdzie można było dostrzec niepewności w posługiwaniu się faktami, o tyle w nowowydanej powieści pt. **„Królowie"**, będącej dalszym ciągiem poprzedniej, stwarza Świderska nie tylko interesujący romans biograficzny, ale również głębokie studium wielkiego kompozytora i człowieka, z jego wszystkimi troskami, upadkami, z szarą, codzienną rzeczywistością. Jest to sztuka niemała. Powieść, już w swojej istocie posiada wiele czynników, które zacierają granice między rzeczywistością a fantazją. Wyczucie tej granicy niewątpliwie zaliczyć należy do wyjątkowych zalet pisarza, który mając przed oczami z jednej strony obowiązek oddania prawdy w niezafałszowanej postaci, a z drugiej konieczność jej powieściowego powiązania, aby stała się dla czytelnika łatwo strawną, nieraz wpada w przesadę. Świderska szczęśliwie wyszła obronną ręką z tych niebezpieczeństw. Wagner w jej powieści jest wielkim kompozytorem i człowiekiem, który przeżywa te same uczucia co inni, może jedynie bardziej spotęgowane i wyciskające swoje rysy na jego twórczości. Trzeba znać doskonale Wagnera, i głęboko rozumieć jego muzykę, jego duszę, pełną udręczeń, walki z prozaicznym życiem i z zawistnymi ludźmi, aby stworzyć postać tak bardzo plastyczną i nawskróś rzeczywistą, wyczuwalną w każdym słowie i w każdym ruchu. Jest to epoka po powstaniu **Trystana**, w życiu Wagnera pełna walki, ze zwłowrogą kampanią Meyerbera, w której wysiłek twórczy hamuje konieczność zdobywania środków do życia; jest to okres tragicznego stosunku do żony i jeszcze tragiczniejszej miłości dla Matyldy Wesendonk; i wreszcie jest to czas powstawania Lohengrina. Te motywy wiążą się w powieści Świderskiej z doskonałą konsekwencją, tworząc obraz wstrząsającego dramatu genialnego muzyka i udręczonego życiem człowieka. Na tle walki z zawistnymi ludźmi, nie rozumiejącymi rewolucyjnej muzyki Wagnera, zaśniedziałymi w swoich poglądach snuje się wzruszająca miłość do Matyldy, którą Świderska oddaje nadzwyczaj pomysłowo przez fragmenty listów Wagnera i pani Wesendonk. Przeciwstawność między tragedią życia i tą głęboką miłością jest taka silna, że mocno odbija się w pamięci czytelnika. W ten sposób Świderska uchwyciła rzeczywisty obraz człowieka, i to właśnie jest największą wartością jej powieści.

* * *

Z powieści duńskiego pisarza **Marcina Andersena Nexö**, p. t. **„Pelle zwycięzcą"** (tł. J. Mondscheina, wyd. „Płomień") wieje czar północnej literatury. Są to dzieje młodego chłopca, który z swoim ojcem Lassem dostaje się na bogaty dwór i walczy o zwycięstwo własnego człowieczeństwa. Nexö zawiązuje problem powieści między szarymi sprawami codziennego życia, wśród małych radości i małych smutków, wśród milczącej walki ze złością ludzką i niepokonalnymi rozporządzeniami kapryśnego losu. Nie ma tu wielkich zdarzeń, ale szereg drobnych wypadków, które tworzą wielkie życie. Pelle już od dzieciństwa zmuszony jest do pracy, która umacnia jego młode siły do walki z przeciwieństwami i budzi w nim pragnienie wyzwolenia się z życia, usiłującego zniszczyć w nim poczucie wartości własnego człowieczeństwa. Równocześnie jakby przez kontrast nasuwa się obraz jego ojca, poczciwego chłopa szwedzkiego, który umie sobie wszystko wytłómaczyć, a wszystkie troski topi w alkoholu. Lasse to typ człowieka pełnego nieskrępowanej pogody, usiłującego zawsze znaleźć dobre strony życia, który nawet w momentach upadku i załamania się szuka wytłómaczenia, mogącego usprawiedliwić własne niedołęstwo i nieporadność w obliczu przeciwności świata. Życie na dworze, to obraz nowoczesnego niewolnictwa, w którym najbiedniejszy, prześladowany przez swoich silniejszych bliźnich szuka drogi do wyzwolenia. Na upadki nie patrzy Nexö oczami potępienia, pragnie znaleźć wśród gąszcza złych instynktów człowieka bodaj najsłabiej widocznych śladów jego dobrej istoty, wierząc, że prędzej czy później odniesie ona zwycięstwo. Ta swoista filozofia broni bohaterów jego powieści przed demoralizującym pesymizmem i rzuca na książkę czar pogodnego uśmiechu, w którym nieraz znajdzie się nawet

Dr MARIAN RYTEL

MARZENIA SENNE

(Ciąg dalszy)

3. Zmysły a marzenia senne

Przeprowadzano liczne badania, aby ustalić wpływ pobudzeń zmysłowych na powstawanie marzeń sennych. Okazało się, że zwidzenia, które przeżywamy wówczas są z reguły fałszywie i fantastycznie interpretowane. Śpiew kanarka wywoływał sen o pięknej symfonii muzycznej, — kilka kropel wody upuszczonych na twarz śpiącego — sen o deszczu i burzy, — stukanie kamyczkiem o szybę stawało się kanonadą, — przewrócenie się krzesła — wybuchem prochowni itp. Ktoś, komu skrzyżowano nogi, śnił o tańcu: ktoś, kto w czasie snu zrzucił z siebie kołdrę śnił, że chodzi nago itp. Odwrotnie zbyt silne ogrzanie jakiejś części ciała morze spowodować sen o ogniu, pożarze itp.

Szczególnie jednak ciekawe są sny, które mają miejsce bezpośrednio przed przebudzeniem i są wywołane zdarzeniami powodującymi właśnie to przebudzenie. Oto opis jednego takiego snu:

„Śnił (jeden z uczonych francuskich zajmujących się badaniem snów) o okresie terroru w czasie wielkiej rewolucji francuskiej o różnych scenach okrutnych mordów. On sam został także postawiony przed sądem. Widział przed sobą wszystkie sławne wielkości rewolucji i po różnych perypetiach, o których po przebudzeniu zapomniał, został skazany i w asyście nieprzeliczonego tłumu poprowadzono go na plac kaźni. Widział siebie wstępującego na szafot, widział spadający nóż gilotyny i czuł jak jego głowa oddzielona została od korpusu. Obudził się w okropnym strachu i stwierdził, że gzyms w głowach łóżka oberwał się i spadając uderzył go w szyję".

A oto dokładnie treść podobnego snu:

„Pewnego wiosennego poranku szedłem sobie poprzez zieleniejące pola do sąsiedniej wioski i widziałem mieszkańców świątecznie ubranych, z książkami do nabożeństwa pod pachą, zmierzających do kościoła. Racja. To przecież niedziela i wkrótce ma się zacząć ranne nabożeństwo. Postanowiłem i ja wziąć w nim udział; ponieważ jednak byłem nieco rozgrzany, chciałem przed tym odpocząć na otoczającym kościół cmentarzu. Podczas kiedy odczytywałem różne napisy na nagrobkach, usłyszałem jak dzwonnik wchodzi na wieżę i na jej szczycie zobaczyłem mały wiejski dzwonek, który zazwyczaj obwieszczał początek nabożeństwa. Jeszcze przez pewną chwilę był on nieruchomy, aż wreszcie począł się kołysać. Nagle rozbrzmiały jego tony jasno i przeraźliwie, tak jasno i przeraźlwie, że odpędziły mój sen. Dźwięki dzwonów pochodziły jednak od budzika".

Obydwa podane powyżej zwidzenia mają wspólną cechę: i w jednym i w drugim koniec snu wydaje się być przyczyną całego zwidzenia. Cały zaś początek zdaje się być doczepionym tylko w tym celu, aby wytłumaczyć końcowy moment, to znaczy uderzenie noża gilotyny albo dźwięk dzwonów. — Uderzenie w szyję gzymsem od łóżka i dźwięk budzika stały się w marzeniach sennych czymś zupełnie innym. Najbardziej błahe zdarzenia z naszego otoczenia zostają w śnie przejaskrawione, stwarzają sposobność do pojawiania się obrazów, barwnych, ciekawych, niezwykłych.

Lekarze w starożytności posiadali system określania chorób na podstawie marzeń sennych. Symptomaty niedostrzegalne w czasie jawy znajdują sobie dostęp do świadomości w czasie snu. Wiadomo, że ludzie cierpiący na choroby serca przeżywają w czasie snu straszne przygody i budzą się przestraszeni. Zdarzyło się tak, że ktoś śnił, iż ma drewnianą nogę i po pewnym czasie ta właśnie noga została dotknięta paraliżem. —

W czasie jawy wszystkie nasze wzruszenia łączą się z zaburzeniami w normalnych procesach fizjologicznych. I na odwrót: zaburzenia w tych procesach w czasie snu są przyczyną przeżywanych w trakcie marzeń sennych gwałtownych wzruszeń.

I wreszcie — aby wyczerpać wszystkie czynniki, które pośrednio czy bezpośrednio wpływają na charakter marzeń sennych — należy tu wspomnieć, że istnieją pewne substancje, których oddziaływanie nie ulega wątpliwości. Jest rzeczą wielce prawdopodobną, że i rodzaj odżywiania nie jest bez znaczenia pod tym względem! ale to są sprawy jeszcze zupełnie niezbadane.

4. Znaczenie i symbolika snów

Podane powyżej przykłady wykazują, że w marzeniach sennych dokonujemy fałszywej interpretacji działających na nas podniet, że nadajemy im zupełnie inne znaczenie niż w stanie jawy. Wspomnieliśmy o częstych w marzeniach sennych wypadkach rozdwojenia jaźni: — ktoś leży w trumnie i zarazem idzie za tą trumną itp. Częstsze jeszcze od takich rozdwojeń są tak zwane zbitki senne. Śnimy o przedmiotach, które są nimi a zarazem czymś innym; przeżywamy sytuacje, w których przeszłość splata się w przedziwną całość z teraźniejszością, widzimy osoby, które mają wygląd jednego znajomego a cechy charakteru drugiego, słyszymy zlepki słów itp.

Świat zwidzeń sennych ma pewne własne prawa, które nim rządzą. Odgrywa w nim decydującą rolę fantazja, która czerpie z bogatego materiału naszych przeżyć zachowanego w pamięci i z tego, czego nam dostarczają nerwy czuciowe. Nasuwa się teraz pytanie, czy ta działalność fantazji jest niczym nie skrępowana czy też, przeciwnie, służy jakimś celom.

Istnieją sny, które są wyraźnym spełnieniem jakiegoś pragnienia. Podróżnik zabłąkany w pustyni i cierpiący pragnienie wędruje w swoich marzeniach sennych po dolinach obfitujących w rzeki i jeziora. Uczestnicy wypraw polarnych, skazani na niezbyt obfite i urozmaicone pożywienie, śnią o obficie zastawionych stołach i całych górach tytoniu; więźniowie korzystają w snach z wolności i tp. Zdarza się przy tym, że zamiast wykonania w nocy jakiejś czynności, połączonej z koniecznością obudzenia się i wstania z łóżka śnimy po prostu o tym, żeśmy tę czynność wykonali i śpimy spokojnie dalej.

W podanych powyżej wypadkach treść marzeń sennych jest podporządkowana pewnym potrzebom człowieka, które z tych czy innych względów nie mogą być naprawdę zaspokojone. Czy jednak każdy sen jest, jak tego chce Freud, spełnieniem jawnego, czy utajonego pragnienia? Freud jest przy tym skłonny sądzić, że w marzeniach sennych chodzi w pierwszym rzędzie o zaspokojenie pragnień natury seksualnej. W zwidzeniach sennych dochodzą do głosu nie tylko nasze pragnienia (i to nie wyłącznie erotyczne), ale także i nadzieje, obawy i przewidywania. — W ogóle wszystko to, co jest dla nas ważne na jawie, dochodzi do głosu w marzeniach sennych, choć nieraz przybiera taką postać, że trudno na pierwszy rzut oka orzec, o co właściwie chodzi. Nasze pragnienia, chęci i obawy nie pojawiają się w marzeniach sennych jako takie, ale w pewnej jakby alegorycznej postaci. Marzenia senne mają swój własny język, swoją symbolikę. Aby zdać sobie sprawę z tego, jak taka symbolika wygląda, przyjrzyjmy się podanemu poniżej opisowi snu, który z pewnymi modyfikacjami można spotkać często w każdej pracy traktującej o marzeniach sennych. Jest to wyjątek z listu Bismarcka do cesarza Wilhelma:

„List Waszej Cesarskiej Mości ośmiela mnie do opowiedzenia snu jaki miałem na początku roku 1863 w dniach najcięższego przesilenia, z którego żadne ludzkie oko nie widziało wyjścia. Śniło mi się i natychmiast rankiem opowiedziałem to mojej żonie i innym świadkom, że jechałem konno po stromej ścieżce w Alpach. Z prawej strony była przepaść, z lewej skały. Ścieżka była tak gładka, że koń się ślizgał, i nie było miejsca na to, by zawrócić, lub zsiąść z konia. Wtedy uderzyłem o gładkie skały prętem trzymanym w ręku i wezwałem Boga. Pręt stał się nieskończenie długi i ściana przewróciła się jak kulisa w teatrze. Otwarła się szeroka droga i widok na kraj pogórkowaty i lesisty, jak w Czechach. Maszerowały po nim wojska pruskie z rozwiniętymi sztandarami. Powstała we mnie jeszcze we śnie myśl, by o tym zameldować Waszej Cesarskiej Mości, co też się stało. Obudziłem się wesoły i wzmocniony".

Słynny psychiatra niemiecki, Kretschmer, analizując ten sen powiada, że jest on obrazowym przedstawieniem następującego toku myśli:

„Stoję samotnie na wysokim i niebezpiecznym posterunku; grozi mi w każdej chwili upadek i nie mogę zawrócić; pójście naprzód jest niemożliwe z powodu zdecydowanego powszechnego oporu. Tylko Bóg może jeszcze uczynić cud. Tylko wojna z Austrią może jeszcze pomóc". Temu abstrakcyjnemu tokowi myśli odpowiadają w śnie Bismarcka plastyczne obrazy i możemy wskazać, jak krok za krokiem poszczególnym członom rozumowania odpowiadają elementy zwidzenia. Wysoka pozycja społeczna „żelaznego kanclerza" jest we śnie szczytem góry, grożący mu upadek (dymisja) prawdziwą przepaścią, opór społeczeństwa — ścianą skalną, wojna Prus z Austrią — rozległym krajobrazem z maszerującymi wojskami pruskimi.

Jak widać na podanym powyżej przykładzie, symbolika marzeń sennych polega na zastąpieniu pojęć przez organy konkretne, żywe, plastyczne. Im nie trzeba być Bismarckiem, czy inną wybitną osobistością, by przeżywać w marzeniach sennych symboliczne obrazy własnej sytuacji życiowej. Pewne przeżycia stają się symbolami dla określonych sytuacyj i pojawiają się prawie zawsze wtedy, kiedy takie sytuacje mają miejsce. Bardzo często zdarza się, że ludzie stojący wobec zadań, którym z trudnością tylko mogą podołać, śnią, że zdają egzamin maturalny, czy jakiś inny. Podobnie ludzie, zmuszeni i zmęczeni jednostajnością swej pracy zawodowej, śnią, że chodzą do szkoły, albo, że zamknięto ich w koszarach. Monotonia życia szkolnego, względnie koszarowego, która się tym ludziom dała we znaki, stała się symbolem dla każdego pozbawionego głębszego sensu i nie budzącego zainteresowania zajęcia. I nie tylko takie skomplikowane sytuacje wyrażają się w marzeniach sennych w sposób symboliczny. Wszelkie abstrakta przyjmują w marzeniach sennych postać konkretnych obrazów. Pewnemu psychiatrze, który zasnął w czasie przedstawienia operowego, śniło się, że aktorzy wspinają się na galerie i wdrapują się na ściany sceny po to, aby uzyskać wyższe tony. Wysokość tonu, która jest pewnego rodzaju przenośnią, w zwidzeniu sennym została przedstawiona konkretnie jako wymiar przestrzenny.

(Dalszy ciąg na str. IV).

---

miejsce na humor. Głębokie uczucie, które przenika całą powieść, płynie z dobroci serca, broniącego człowieka przed słowami potępienia i wymazującego z życia ciemne strony zawiści. Jest to piękna książka.

* * *

Powieść **Bohdana Łepkiego pt. „Motria"** (tł. M. Lazar-Bieńkowskiej wyd. Rój) jest pierwszą częścią trylogii pt. „Mazepa". Romantyczna postać hetmana Ukrainy już nieraz zajmowała fantazję pisarzy, że bodaj wspomnieć Byrona, Puszkina, Wiktora Hugo i Słowackiego. Zdolny polityk, pragnący wyzwolić Ukrainę spod zależności moskiewskiej, a równocześnie romantyk, kołysany melodiami dum ukraińskich, zjawia się w powieści Łepkiego w decydującej chwili swego życia, gdy staje wobec konfliktu między uczuciem a obowiązkiem. Mazepa, pragnący oderwać Ukrainę od Moskwy, prowadzi misterną grę między Piotrem I, carem moskiewskim, a Stanisławem Leszczyńskim i Karolem XII szwedzkim, pragnie wyzyskać wojnę północną, aby zdobyć niezależność dla państwa, które powoli, ale systematycznie tworzy, tworząc wielką armię, odbudowując zamki, gromadząc rezerwy finansowe. Przeciwko jego polityce występuje generalny sędzia Koczubej, człowiek słaby, zawojowany przez żonę, wobec której zawsze traci wolę i energię. Żona Koczubeja pragnie zdobyć władzę hetmańską dla męża, aby przez niego rządzić Ukrainą. W ten sposób Łepki wiąże w powieści dwa konflikty: walkę między Koczubejem a Mazepą i jego miłość dla Motrii, córki swego przeciwnika. Oba motywy wzajemnie się uzupełniają, tworząc misterną grę ambicyj i namiętności. Niewątpliwie na powieść Łepkiego wywarł wpływ Sienkiewicz, nie brak też w niej motywów zaczerpniętych z mickiewiczowskiego „Pana Tadeusza" (tort zaraz w pierwszej scenie, muzyka na myśliwskim rogu Koczubeja), ale to są drobne zależności, które w niczym nie odbierają oryginalności jego książce. Autor głęboko czuje dawną Ukrainę, rozumie jej duszę, pełną smutku i mistycyzmu (przypominają się tutaj dumy Zaleskiego), to też nieraz wprowadza sceny pełne liryki, swoistej metafizyki i marzeń. Pierwiastek erotyczny wysunął na plan pierwszy, nie zaniedbując jednak przy tym tła historycznego i obyczajowego, sięgnął nawet do listów, relacyj historycznych, pamiętników, aby dać realny obraz ówczesnego życia. Dzięki temu realizmowi historycznemu zaciera się wrażenie naiwności niektórych scen. Powieść ukazała się w przekładzie czeskim, a w fragmentach w języku angielskim i rosyjskim.

* * *

Akcja powieści **Marii Leszczyńskiej-Mittelstaed, p. t. „Bratowa z kabaretu"** (wyd. Roju) rozgrywa się na wsi. Właściciel Różanki, Michał Tański, żeni się z ubogą panną Heleną. Są bardzo szczęśliwi. Helenka, trusia przed ślubem, staje się nagle energiczną, zajmuje się gospodarstwem, słowem życie układa się jak najczarowniej. Nagle zachorował brat Michała, który ma za żonę śpiewaczkę z kabaretu. Michał poznaje bratową, sprowadza razem z bratem do Różanki, choć w myśli wzdryga się na myśl, że bratowa z kabaretu może pocałować jego Helenkę i małego syna. Ale bratowa, którą powszechnie nazywają Piosenką, nie tylko pocałowała Helenę i małego Jacka, ale ostatecznie zdobyła sobie Michała tak dalece, że wreszcie zostaje jego kochanką. To wszystko. Treść nikła, rozwija się bardzo powoli i z trudem, zwłaszcza, wskutek dość obfitego wywatowania jej rozmaitymi dyskusjami i uwagami moralnymi. Są tu także ciemne charaktery (nie czarne), ale i one ostatecznie aż lśnią się od białości, a nawet Piosenka, której ratunek zdawało się jest beznadziejny, dźwiga się z upadku, romantycznie wchłania w siebie wiejską przyrodę, i staje się innym człowiekiem. Prawdę mówiąc, to z tą sprawą jest rzecz dość kłopotliwa. Piosenka wprawdzie odradza się, żałuje tego, że pragnie męża Helenki sprowadzić na złą drogę, ale równocześnie wszelkimi siłami marzy o tej nocy, którą ostatecznie powieść kończy. Piosenka w powieści to najlepiej opracowany typ, choć w linii jej psychiki widać jaskrawe zygzaki, które trudno pogodzić z rzeczywistością i logiką myślenia przeciętnego człowieka. Kto lubi powieści mdłorzewne, obficie zaprawione czułostkowością, temu książka Leszczyńskiej będzie się podobała.

* * *

Do zdegenerowanej literatury erotycznej należy powieść **Tertuliana Stablewskiego, p. t. „Montparnasse"** (wyd. Hoesicka). Autor stara się dać obraz życia współczesnego Montparnassu, czyni to jednak tak niedołężnie, że wychodzi jakaś karykatura, nie mająca z rzeczywistością wiele związku. Aby znaleźć dla siebie usprawiedliwienie, że bohaterowie jego powieści są malarzami, od czasu do czasu, bez najmniejszego związku z akcją wprowadza dyskusje na temat współczesnego malarstwa, które należą do najciekawszych części powieści. Należą one jednak do wyjątków, bo Stablewski opowiada wyłącznie o pijackich wędrówkach malarzy po najrozmaitszych knajpach paryskich, które szczegółowo opisuje, wylicza różne gatunki alkoholu, wskutek czego jego powieść śmiało można nazwać przewodnikiem po Paryżu — dla pijaków. Oprócz tego opisuje kilka scen erotycznych, opowiada o zboczeniach płciowych, starając się bodaj w ten sposób przyciągnąć czytelnika. Ale to niewiele pomoże, bo pomijając już chorobliwy erotyzm autora, powieść nie posiada żadnej wartości artystycznej, jest okazem typowej literatury kuchennej: brak akcji, sztucznych motywów, ustawiczne powtarzanie tych samych scen w rozmaitych wariantach, wielka monotonia opowiadania, stawia powieść Stablewskiego w szeregu pierwszym grafomańskiej literatury.

5. Teoria marzeń sennych

(Dalszy ciąg ze str. III).

Podany wyżej opis marzeń sennych pozwoli nam wreszcie na wyjaśnienie tego zjawiska. Psychologia rozróżnia spostrzeżenia, które przeżywamy wtedy, kiedy patrzymy na przedmioty rzeczywiście istniejące, — i wyobrażenia, które mamy wówczas, gdy sobie coś przypominamy z przeszłości, względnie myślimy o przeszłości. Spostrzeżenia mówią nam o tym, co naprawdę istnieje, wyobrażenia są tym, co sobie w myśli przedstawiamy. W czasie jawy nigdy nie pomieszamy ze sobą spostrzeżeń i wyobrażeń, natomiast w czasie snu, zwidzenia senne (mimo tego, że są tylko, wyobrażeniami) mają dla nas charakter zdarzeń, które się naprawdę odbywają. Tylko w bardzo rzadkich wypadkach zdajemy sobie sprawę z tego, że śnimy. Powstaje więc obecnie pytanie, jak to się dzieje, że nasze wyobrażenia w czasie snu mają tę cechę prawdziwości, która normalnie przysługuje spostrzeżeniom.

Aby tę kwestię rozstrzygnąć, spróbujmy rzecz odwrócić i zapytajmy: — dlaczego w czasie jawy nie mieszamy wyobrażeń ze spostrzeżeniami? W czasie jawy oddziałuje na nasze zmysły cały szereg procesów, które mają miejsce w naszym otoczeniu. Zazwyczaj to, co spostrzegamy jednym zmysłem, możemy sprawdzić przy pomocy innego (kształt dotykiem itp.). Aby sobie coś wyobrazić, musimy użyć pewnego wysiłku na to, by niejako oddzielić się od naszych zmysłów, które ciągle rejestrują jakieś pobudzenia, i wywołać w naszej świadomości potrzebny nam obraz. Przeżycie wyobrażenia przychodzi nam na ogół z większym wysiłkiem, niż spostrzeżenie, które nam się samo niejako narzuca. Ta konieczność pewnego wysiłku i możność wzajemnego kontrolowania danych zmysłowych sprawiają, że w czasie jawy nie mieszamy ze sobą wyobrażeń i spostrzeżeń.

W czasie snu sytuacja jest zupełnie inna. Nie przeżywamy tu spostrzeżeń, tylko wyobrażenia, które nam się same, bez naszego wysiłku, nasuwają tak, jak spostrzeżenia w czasie jawy. Co więcej; nie mamy, ani możności, ani chęci do sprawdzania tego co przeżywamy. Nastawienie krytyczne w czasie snu całkowicie zanika. Ponieważ wyobrażenia są jedyną treścią naszej świadomości w czasie snu i ponieważ nie ma nic innego, co by z nimi mogło walczyć o dostęp do świadomości, więc też wydają nam się prawdziwe.

Drugie pytanie, którym należy się z kolei zająć, dotyczy tego, co można by nazwać mechanizmem marzeń sennych. Dlaczego w marzeniach sennych przeżywamy rzeczy nieprawdopodobne i bezsensowne i skąd się bierze ich symbolika? Aby na to pytanie odpowiedzieć, musimy zajrzeć do historii gatunku ludzkiego.

Pomiędzy zwidzeniami sennymi, a umysłowością ludzi pierwotnych i dzieci zachodzi bardzo duże podobieństwo. W życiu kulturalnych społeczeństw bardzo ważną rolę odgrywa krytyczne myślenie, które operuje pojęciami abstrakcyjnymi. Pojęcia takie są czymś ponadosobowym i powstają jako skutek współpracy ludzi, są wytworem społecznym. Ludzie jednak nie zawsze myśleli przy pomocy pojęć. Myślenie ludzi pierwotnych (i dziecka) nie zna pojęć; jest ciągiem następujących po sobie obrazów. Nasze myślenie stara się być obiektywnym; umiemy rozróżniać pomiędzy właściwościami przedmiotów a ich ewentualnym (dobrym lub szkodliwym) oddziaływaniem. Inaczej sprawa przedstawia się dla ludów pierwotnych. Człowiek pierwotny patrzy na otaczające go zjawiska przede wszystkim pod kątem ich ewentualnego oddziaływania na niego samego. Zjawiska te są dobre, złe, lub straszne i ta ich dobroć, zło, czy „straszność", są dla niego właściwościami tych zjawisk. Człowiek pierwotny rzutuje jak gdyby w świat otaczający swoje obawy i pragnienia. Patrząc na świat ze stanowiska wybitnie uczuciowego dokonuje człowiek pierwotny uogólnień i syntez na płaszczyźnie uczuciowej. Tam, gdzie myślenie sprowadza się do następstwa obrazów, nie ma miejsca na zasady logiczne; to też człowiek pierwotny (i dziecko) nie czuje potrzeby unikania sprzeczności. Silnie związany uczuciowo z otaczającym go światem, może się on czuć sobą samym, swoim dziadkiem i jakimś zwierzęciem równocześnie (rybą, wężem, papugą i t. p.) i nie widzieć w tym nic dziwnego. Nasze marzenia senne zbliżają się więc do normalnego myślenia dziecka i człowieka pierwotnego. Uważne, krytyczne, myślenie jest wynikiem uczenia, długiej tresury, którą musi przejść każdy człowiek, nim stanie się „wykształconym". Myślenie pojęciowe wymaga skupienia, uwagi i przeprowadzenia kontroli nad nasuwającymi się wyobrażeniami. W trakcie snu nie posiadamy kontroli nad naszymi przeżyciami, w grę wchodzą jedynie zasoby pamięciowe i w automatyzmy. Zwidzenia senne są więc pewnego rodzaju regresją, cofnięciem się na niższy szczebel rozwoju. Posiadamy w śnie mentalność ludzi pierwotnych, względnie dzieci, i przy jej pomocy wyrażamy to, co nas nurtowało w czasie jawy.

W zwidzeniach sennych — jak to już wspomniałem—wchodzą w grę zasoby pamięciowe i automatyzmy. Czy jednak tylko automatyzmy? Czy nie istnieją sny naprawdę twórcze? Na to pytanie odpowiedź nie jest łatwa. Trudno mianowicie orzec, czy przeżywane w czasie snu pomysły nie powstały już i nie istniały w formie niejasnej jeszcze przed zaśnięciem, względnie, czy nie powstały zaraz po przebudzeniu. Osoby, które straciły wzrok w młodości, mają dużo elementów wzrokowych w tych swoich zwidzeniach sennych, które odnoszą się do tego czasu, w którym jeszcze korzystali ze swego wzroku. Natomiast w ich marzeniach, odnoszących się do czasu po utracie wzroku takich elementów nie było; nie potrafili oni naprzykład wytworzyć sobie obrazu tych osób, które poznali już w czasie swej ślepoty. Udawało im się to jedynie tylko wtedy, jeżeli w czasie jawy starali się wytworzyć sobie obraz tych osób. Mimo to jednak obrazy takich osób w ich zwidzeniach były niewyraźne, nie ostre i schematyczne. Te obserwacje przemawiałyby za poglądem tych badaczy, którzy w marzeniach sennych widzą jedynie grę automatyzmów.

Ostatniepytanie, na które musimy jeszcze dać odpowiedź, dotyczy biologicznego znaczenia marzeń sennych. Jakie jest znaczenie tych ostatnich dla organizmu i do czego one służą? Nurtujące nas w czasie snu pragnienia, obawy i t. p. mogłyby wreszcie przez „swoje kołatanie do świadomości" przerwać ową zaporę, która ich nie dopuszcza do ośrodków korowych i w ten sposób spowodować przebudzenie. Jeżeli jednak w świadomości śpiącego przesuwają się obrazy, które są spełnieniem tych potrzeb i uspokojeniem obaw, to jest taka sytuacja, jakby te obawy i pragnienia były naprawdę zaspokojone i nie grozi nam przedwczesne przerwanie snu. Marzenia senne są więc jeszcze jednym ze sposobów, którymi organizm stara się zapewnić sobie potrzebną ilość wytchnienia.

Na zakończenie jeszcze parę słów o tak zwanych „sennikach". Są to książeczki, które „przepowiadają" przyszłość na podstawie snów. Tylko ludzie bardzo niewykształceni i naiwni mogą brać na serio takie „przepowiednie". W czasie snu wszelkie władze poznawcze człowieka znajdują się w stanie pewnego rozluźnienia. Dlaczegóż więc tedy mielibyśmy lepiej przewidywać przyszłość, niż w stanie jawy, kiedy nasz umysł jest w stanie kompletnej gotowości i napięcia? Z marzeń sennych możemy się natomiast jednej rzeczy dowiedzieć, a mianowicie tego, jakimi sami jesteśmy. W czasie jawy jesteśmy nastawieni na działanie, nie mamy czasu na zajmowanie się sobą samym. Nasze pragnienia i obawy, nasza prawdziwa natura dochodzi do głosu w zwidzeniach sennych. „Opowiedz mi swoje sny a powiem ci, jakim jesteś".

—oOo—

PRZEMYSŁAW MROCZKOWSKI

Drezno marzy o przeszłości

Drezno, siedziba dawnych władców Saksonii, ozdobione przez nich tylu wspaniałymi pomnikami, posiada urok i specjalny charakter połączenia nowoczesnego dużego miasta z pięknem i kulturą minionych wieków. Niektóre z publicznych gmachów, a nawet sposób zabudowania przypominają Paryż. Szerokie promenady, swobodny widok na szereg mostów na Łabie, nawet kolor i kształt budynków, każą myśleć o spacerach nad Sekwaną.

W zeszłym roku powzięto myśl powrotu do dawnych tradycji i odnowienia rycerskich widowisk w pełnym dwudziestym stuleciu. Także te widowiska mają już za sobą przeszłość. Książęta sascy urządzali takie uroczystości w murach Drezna od końca XVI w. Na arkadowym dziedzińcu, mocno podobnym do podworca starego zamku, rycerskie turnieje miały tło wprost wymarzone. Nie dziw, że dwudzieste piąte z rzędu przedstawienie ściągnęło tłumy publiczności ,tak jak musiało ściągać i ongiś. Obszerna przestrzeń, posypana grubym piaskiem; wokół przystrojone łuki arkad toną w światłach reflektorów. Ponad murami wystrzelają podobnie uroczyście iluminowane wieże kościoła i zamku. Nad wszystkim czarne tło nieba. Widzowie wypełniają trybuny, stanowiąc przez swoje bezwyrazowe stroje jedyny kontrast z tym tchnieniem średniowiecza, jakie nas poczyna ogarniać.

MIESZCZAŃSTWO I PLEBS

Naprzód będziemy oglądać życie jarmarczne. Oto wpadła na dziedziniec barwna gromada ludku, chciwego rozrywek. Już w jednym miejscu igry ucieszne przyciągają jej uwagę: to skoczki wyczyniają dziwne łamańce i piramidy. Dziewczęta puszczają się z chłopcami w pląsy. Doprawdy zda się, że jakaś scena z Berenta i że naprawdę „kamienie" stały się „żywymi". Chór czarno ubranych chłopców, wykonuje pieśń. Z uwagą niby słucha zebrana ciżba miejska, a już zerka na lewo i na prawo, gdzie się jakaś osobliwość pokaże... Przeraźliwy dźwięk rogu oznajmia co chwilę nowe sensacje.

Cóż tam za nagły hałas w kącie? Tłum porusza się żywiej, a za chwilę wyskakuje jakiś biało ubrany człowiek i zmyka, co tchu w piersiach. To nieuczciwy piekarz, który sprzedawał chleb poniżej przepisanej wagi, i na którym zaraz oburzeni mieszkańcy miasta wykonują radykalną karę. Złapany przez dwóch pochołków, zostaje wsadzony do drewnianej klatki i zanurzony, ku uciesze gawiedzi, w zimnej wodzie. Daremnie rzuca się, ile ma siły; karząca ręka oburzonej i rozśmieszonej tłuszczy ciągnie go za ramię i raz po raz sprawia mu chłodną kąpiel. Nawiasem wspomnę, że ten punkt programu był dla mnie sprawdzianem autentyczności widowiska. Taką bowiem właśnie klatkę widziałem później przechowaną w słynnym muzeum tortur w Norymberdze.

Z kolei wśród szumnych zapowiedzi wjeżdża wędrowny lekarz ze swoim pomocnikiem. Zbyteczne dodawać, że tacy dają rady wszelkim chorobom. Skarżący się na zęby mieszczuch od razu zostaje uleczony — potworne kleszcze pozbawiają go przyczyny jego cierpień. Zachęcony widocznie takim wynikiem, inny z gapiów zgłasza się o naprawienie swojej ręki. Jest to skrzypek, któ-

(Ciąg dalszy na str. V).

MARIA SANDOZ

Międzynarodowe wyścigi konne w Zurychu

Zurych we wrześniu.

Wyścigi konne, rozgrywane były dotychczas na terenie Zurychu jedynie w konkurencji miejscowej, bez udziału zagranicy. Po raz pierwszy w tym roku udało się miastu i organizatorom ściągnąć jeźdźców i konie zagraniczne, które odwiedzały jedynie co roku Lucernę, jako stałe miejsce spotkań różnych krajów. Tor wyścigowy w Zurychu, który w razie potrzeby zamienia się w tor motocyklowy do dorocznych t. zw. Rasenrennen, znajduje się w Wollishofen u stóp góry Uetliberg, położony bardzo malowniczo u wrót doliny Sihltal w pętli rzeki Sihl, u podnóża gęstych lasów liściastych. Daleko to od miasta, ale komunikacja tramwajowa i autobusowa pierwszorzędna.

BIEG ŻOŁNIERSKI I OFICERSKI

Wyścig podzielono na dwa dni, niedzielę, 5 i niedzielę 12 września. Pierwszy odbył się w znakomitych warunkach, w sobotę spadł bowiem deszcz, a w niedzielę wypogodziło się pięknie, tak, że trawiasty tor był w odpowiednim stanie. Jako pierwszy odbył się bieg żołnierski z udziałem 11 dragonów w szarych skromnych mundurach, w którym wygrał koń Tissura, zaraz potem drugi bieg żołnierski z przeszkodami, gdzie za zwycięskiego konia (niespodzianego, czyli t. zw. Fuchsa płacił totalizator 180 frs. za 10). — Bieg płaski, Koralrennen z udziałem 9 koni i jeźdźców cywilnych wygrał porucznik Kaufmann na Padyszachu. Dalszy bieg, oficerski, dostępny tylko dla armii szwajcarskiej, zgromadził tylko cztery konie, z których zwycięzcą został Ochino. Bieg kłusaków z malutkimi wózeczkami na dwóch kółkach, wygrał koń Extra-Dry. Nader zajmujący był bieg myśliwski, do którego prócz Szwajcarów stanęli Węgrzy i Niemcy, jakkolwiek niemal tragiczny. Ze startujących sześciu koni, trzy upadły tak nieszczęśliwie, że oficerowie zostali poranieni, jeden zaś z koni skręcił kark i dogorywując pokopał niebezpiecznie swego pana. Zwycięzcą tego biegu, został Niemiec, porucznik Hasse. — W biegu weteranów brali udział panowie powyżej lat 40; wygrał Francuz na koniu Quintilian. „Clou" pierwszej niedzieli stanowił piękny bieg o „Preis von Speer", w którym prześcigały się ciągle cztery rasowe konie o oryginalnych nazwach: Menne, Table Bay, Haut les Coeurs i Roi des Resquilleurs. Ten ostatni zwyciężył w pięknym stylu.

MIMO DESZCZU i BŁOTA

Druga niedziela wyścigu wypadła w okresie ponurej i zimnej słoty. Jakkolwiek deszcz trochę ucichł, powietrze było wilgotne i zimne, ludzi przybyło mało a w okół trybun, restauracji, muzyki i domku na mecie musiano kłaść deski i sypać wióry, by ochronić publiczność przed błotem. Nie mniej wyścigi odbyły się w porządku i bardzo uroczyście, przy bogato dekorowanych trybunach. Pierwszy bieg o „Preis des Schweizer Kavallerist" 600 franków z udziałem 7 koni, wygrała Gondola, która prowadziła od początku. Dziwne ekstrawagancje wyprawiała Tollkirsche, nomen omen. — „Preis von Tödi" o nagrodę 1900 frs. wygrał po raz czwarty w Szwajcarii koń Padyszach; był to bieg płaski, 2200 m. długości o szalonym tempie. — Bieg myśliwski dla oficerów szwajcarskich na dystansie czterech kilometrów wygrał piękny angloarab: Le Bienvenu pod por. Fehrem. „Preis von Wiedikon" był biegiem kłusaków z udziałem trzech koni; faworytem była Etincelle, kierowana przez pannę Ginon, córkę właściciela konia. Cały czas kłusowała też dzielnie na przedzie, lecz wskutek galopady, jaką Etincelle urządziła swojej pani na finiszu, została zdyskwalifikowana na drugie miejsce, pierwsze zaś z nagrodą 900 frs. przypadło w udziale koniowi Extra-Dry, zwycięzcy z ubiegłej niedzieli. Emeraude-Hirdenrennen na dystansie 2800 m. o nagrodę 1900 franków (druga nagroda 1200, trzecia 400, czwarta 200 itd.) obfitowała w efektowne momenty i zaciętą walkę między Węgrami, Niemcami i Szwajcarami. Dzięki wspaniałemu, umiejętnemu finiszowi wygrał Niemiec por. Hasse na koniu Quiram przed Mousmée i Mon Amour III.

Z napięciem oczekiwaliśmy głównego biegu: „Grosser Preis der Stadt Zürich" o nie byle jaką nagrodę 6000 franków, (druga nagroda 4.000, trzecia 1.000, czwarta 500 itd.). Publiczność oblegała na długo przed biegiem padok i totalizatora. Siedem koni dosiadło 2 Węgrów, 1 Francuz, jeden Niemiec i 3 Szwajcarów, wszystko w mundurach. Było to Steeple-Chase z bardzo trudnymi i wysokimi przeszkodami, ale też i konie, znane z licznych zwycięstw w Szwajcarii i za granicą. Jeden z koni zwalił się wkrótce po starcie na przeszkodzie i zgubiwszy jeźdźca, latał jak szalony po torze, zagrażając innym koniom. Węgier na koniu Menne i Szwajcar Kaufmann na szpaku 3-latku Roi des Resquilleurs darły na przedzie przez długi czas. Najnieoczekiwaniej runął Węgier jak długi na jednej z przeszkód, dzięki czemu po morderczym parcours Szwajcar pierwszy wpadł na metę wśród burzy oklasków i przy dźwiękach hymnu „Heil dir Helvetia". Dotkliwe zimno, mimo spacerów, rozgrzewania się herbatą i grogiem wypędziły sporo widzów już przed ostatnim biegiem, Preis des Club Hippique Suisse. Obłocone piękne limuzyny sunęły cicho ku miastu, a z szarego jesiennego nieba popadywał uparty kapuśniak, gdy ostatnie konie wracały na padok. Urozmaicone i udane wyścigi przyniosły spowodu słoty deficyt nie tylko organizatorom, ale i różnym przedsiębiorcom restauracyjnym.

Doroczne wielkie międzynarodowe wyścigi w Lucernie, a także w Thun i Frauenfeld mają lepszą sławę i opinię od Zurykich ku żalowi fanatyków tego pięknego sportu. Równocześnie odbywają się pod Uetlibergiem doroczne jesienne Knabenschiessen, połączone z zabawami dla dzieci. W wir wyścigów konnych padało nieprzerwane terkotanie strzałów z Albisgütli, z celnych strzelb małych Szwajcarów, potomków znakomitego strzelca Wilhelma Tella.

remu sztywność w przegubie nie pozwala grać. Eskulap załatwia się z tym szybko; odcina wadliwą rękę i wstawia na jej miejsce drewnianą. Drewniana ręka funkcjonuje wprawdzie bez zarzutu, ale skrzypek jest tak oburzony przeprowadzoną operacją, że bije nią doktora po buzi. Wpadamy więc w groteskę. Ale za chwilę znów widzimy lud karzący przekroczenie, jak niewieście ze złym językiem zakłada na twarz diablą maskę zrogami. Jakiś wielki pan przyjeżdża na polowanie ze wspanałym orszakiem. W klatce wiozą niedźwiedzia. Na zakończenie przychodzi fechtunek cechu kowali: szablami, potym drągami, w końcu mieczami ogromnej długości.

JAK NA DWORZE ARTUSA

Dopiero w drugiej części pójdą w szranki prawdziwi rycerze... Oto z dźwiękiem rogu wjeżdżają okazałe orszaki zbrojnych mężów. Lśnią zbroje, kołyszą się pióropusze. Okryty kolorową zasłoną koń, prowadzony przez giermka, na nim zakuty w żelazo zawodnik z opuszczoną przyłbicą. Niedaleko ciągną różnobarwne proporce z herbami rycerzy. Nie wiele chyba różny widok od tego, jaki w wyobraźni średniowiecznego pisarza przedstawiał dwór wielkiego legendarnego króla Artusa, gdy w obliczu pięknych dam odbywał się turniej, na którym miał się popisać swoją walecznością legendarny Lancelot. Brak pięknych dam na krużgankach, to zaiste jedna z zasadniczych niedoskonałości tego par exellence średniowiecznego obrazu. Nie chcę przez to powiedzieć, że damy wśród publiczności na trybunach nie były piękne, ale one do widowiska nie należały.

Czwórkami wjeżdżają dalsi zawodnicy z ogromnymi lancami przy strzemionach. Zaczyna się od gonitw przez dziedziniec. Po jakimś czasie następują biegi do pierścienia. Rycerze z dużą zręcznością nadziewają w biegu na nastawione lance podwójny stalowy krążek — inna rzecz, że nasza kawaleria nie gorzej ścina szablami wiklinę. Ćwiczenia stają się coraz ciekawsze. Jeźdźcy trącają się w pędzie kopiami, które kruszą się od uderzeń. Ale dopiero na końcu przychodzi do starć na ostro. Dwaj rycerze ruszają z dwóch przeciwnych końców dziedzińca z nastawionymi dzidami. Gwałtowny tętent kopyt, chrzęst zbroi, błyskawiczne zderzenie — i jeden z zawodników leży na ziemi. Nie ponosi zresztą żadnego szwanku, choć nadbiegający pachołkowie podnoszą go, jako rannego. Nie wiem, czy to wina organizatorów aktualnych, czy już dawniej książęta sascy zapomnieli, że po skruszeniu kopiii następowała walka na miecze, która była najważniejsza i najciekawsza.

W ostatniej części wieczoru oglądamy obraz oblężenia zamku w siedemnastym (o ile dobrze wnioskuję) stuleciu. Mniej to już ciekawe od poprzednich, bardziej średniowiecznych próbek — ale i tak pouczające. Muszkiety z widełkami, potężna armata, robiącą więcej huku, niż prawdziwej szkody, maszyna do miotania zapalonych pocisków, szopa oblężnicza i t. d. dają niezłe pojęcie o prawdziwej wojnie z tych dni.

Brak w tym wszystkim jakiejś jednolitej akcji, która by tym epizodom nadała głębszy sens i lepszy układ. Przy tej samej wystawie jakiś dramat mógłby być widowiskiem ciałkiem niespotykanym.

Reasumując, można powiedzieć, że spędziło się w Dreźnie wieczór trudny do zapomnienia.

Rozmaitości

Japońska telefonistka jest wzorem uprzejmości

W Japonii, zdejmując słuchawkę telefoniczną, usłyszy się bezpośrednio melodyjnym głosem wypowiedziane „Moszi-Moszi". Miły głosik, tak uprzejmie łechcący ucho, pochodzi od telefonistki, która z właściwym córom Dalekiego Wschodu skupieniem śledzi każdy błysk lampki sygnałowej i z cierpliwością wsłuchuje się w podawane jej przez cudzoziemca w łamanym języku numery telefoniczne. Melodyjne „Moszi-Moszi" jest odpowiednikiem naszego „Hallo! Hallo!" To łatwo zapamiętać. Gorzej jest z prawidłową japońską wymową cyfr. Ale cudzoziemiec może się tym zbytnio nie przejmować. Telefonistki japońskie należą do najbardziej wyrozumiałych istot pod słońcem. Nie tylko nie zrazi się wadliwa, trudno nieraz zrozumiałą wymową cudzoziemca, ale przeciwnie gratulować mu będzie, że zdołał już poczynić tak doskonałe postępy i zachęcać do wytrwałych ćwiczeń w opanowaniu tajników japońskiej wymowy. Telefonistka japońska jest bowiem najuprzejmiejszą istotą pod słońcem. Nie tylko z szeregu nieartykułowanych dźwięków potrafi odgadnąć cudzoziemca i połączyć go z żądanym numerem, ale postara się jeszcze udzielić mu w miarę czasu i możności wszystkich żądanych informacyj.

Zmora naszych telefonów, oczywiście przed automatyzacją, wadliwe połączenia, nie istnieją w Japonii. Japońskie urzędy telefoniczne nie znają jeszcze jednej rzeczy europejskiej, księgi zażaleń. Pochodzi to prawdopodobnie stąd, że Japończycy odnoszą się z niezwykłym uznaniem do pracy telefonistek i otaczają je najdalej posuniętą życzliwością.

Panienki „moszi, moszi", jak powszechnie nazywają w Japonii telefonistki, noszą jednolite umundurowanie służbowe które jednak nie zatraciło w niczym cech kobiecych. „Uniform" telefonistek japońskich jest czymś pośrednim między barwnym, wygodnym kimonem a kostiumem europejskim. W Tokio, w pobliżu głównej centrali telefonicznej, wysokiego, nowocześnie budowanego, kilkupiętrowego gmachu, można codziennie rano obserwować kilkaset dziewcząt, telefonistek, zażywających spaceru. Życie japońskiej telefonistki jest ściśle związane z jej miejscem urzędowania. W Tokio np. telefonistki są całkowicie skoszarowane. Jedzą one i śpią w gmachu urzędowania.

Telefonistka japońska posiada gruntowne wszechstronne wykształcenie. Tym też należy tłumaczyć sobie gruntowność obsługi telefonów nie tylko w Tokio, ale w każdym mieście japońskim. W stolicy Japonii czynnych jest około 1000 telefonistek. Poza tym, przy głównym urzędzie telefonów, znajduje się szkoła, do której kandydatki do odpowiedzialnego urzędu telefonistek kształcić się muszą przez 5 lat, przechodząc przez niezliczoną ilość prób i egzaminów, po których tylko najbystrzejsze, najbardziej zdolne dostają się na stanowiska. Japonka, która przepadnie przy ostatnim egzaminie, wraca do domu bez jakiegokolwiek prawa odszkodowania. Kandydatki, które szczęśliwie przeszły przez ogień wszystkich egzaminów, przydzielane są na rok praktyki do centrali telefonicznej, po czym dopiero otrzymują nominację na urzędniczki. Nie trudno sobie wyobrazić, eż po takiej „szkole" japońska telefonistka uodporniona jest przeciwko wszystkim niedoskonałościom swego zawodu, jest uprzejma, tak dalece uprzejma, że mogłaby sięgnąć po tytuł królowej uprzejmości, gdyby istniały tego rodzaju konkursy, W Japonii, gdzie purzejmość jest nagminną cnotą, konkursy takie byłyby zbędne, ale znam takie miejsce w Europie, gdzie by się przydały — i to bardzo. Telefonistka japońska nie myli się nigdy. Jest to tak dalece przyjęty pewnik, że jeśli się nawet kiedy zdarzy mylne połączenie, abonent japoński winę jego przypisuje z reguły sobie. To też takie telefony, jak „proszę kontrolę" lub „do kogo mam wnieść zażalenie" są w japońskich urzędach telefonicznych zupełnie nie znane. Panienki „moszi — moszi" cieszą się w Japonii powszechnym uznaniem i szacunkiem. Są to poważne i karne panienki, oddane całkowicie swemu zawodowi. Młodzi Japończycy, o ile nie odstrasza ich zbytnia powaga telefonistek, chętnie wśród nich szukają kandydatek na żony. Po wyjściu za mąż, telefonistka japońska opuszcza służbę i jest tylko panią domowego ogniska. Z tą chwilą odzyskuje wszystkie prawa i przywileje kobiety. Wolno jej się mylić, jak każdej kobiecie. Jednego tylko nie wolno jej nigdy — nawiązać mylnego połączenia.

Rozrywki umysł. Nr 41/80

Pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

ZAD. 1. ELIMINATKA Z CYKLU: „ZREFORMOWANE PRZYSŁOWIA" (5 PUNKTÓW).
ul. N. K. Kozłowski, czł. Kl. Szar.

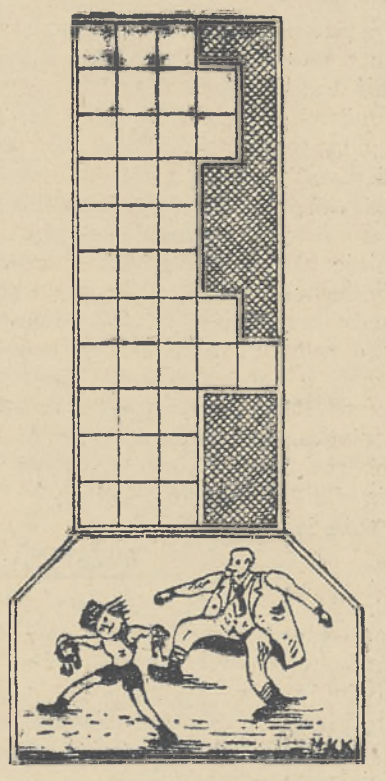

W kratki rysunku należy wpisać poziomo 11 wyrazów o podanych znaczeniach, poczem wykreślić z ich litery, wchodzące w skład klucza (oznacza: „Władza umysłowa").

Znaczenie wyrazów: 1. Postać z epizodu epicznego Mahabharaty pt. „Nal i Damajanti"; 2. kawał skały, blok; 3. przysłówek czasu; 4. naczynie szklane albo blaszane do przelewania; 5. koń drobnej rasy; 6. spójnik; 7. inaczej „kurzy zlekka fajkę"; 8. imię żeńskie (12 sierpnia); 9. ojciec chrzestny w stosunku do matki chrzestnej; 10. drąg żelazny; 11. Wieloryb.

ZAD. 2. SZARADA Z CYKLU: „INSTITUT DE BEATE" (5 PUNKTÓW)
ul. „Kasia", czł. Kl. Szar.

I.

Rzecz to jest od dawna znana
trzy dla wytwornego pana
bez **całego** nie ma życia.
Robi u mnie znakomicie
prima siła, platynowa,
druga-pierwsza Rózia Krowa.
Czasem **g-raz-czwór** się robota:
Rózia **raz-pięć** o pieszczotach
i rozmyśla (zdradzę Wam),
jak zostać **wtór-trzecią** *) femme.

II.

Panie, to do **Trój-pierwszego**
nasz Figaro, słynny Grzegorz,
z wyostrzoną brzytwą leci,
gdy jesteście **drudzy-trzeci,**
żeby zajść pod szyld wspaniały:
„Rwie się zęby oraz... **„Całe"** **

*) Po francusku fonetycznie.
**) Pierwsze-drugie-trzecie.

ZAD. 3 — KONIKÓWKA (4 PUNKTY).
Ul. W. Nosé — czł. Kl. Szar.

rza	sta	ga	a
stan	le	w	ni
zem	de	żych	się
nie	da	zin	echo
u	rą	de	rów

Ruchem konika szachowego obejść wszystkie pola i odczytać sentencję J. N. Szumana.

ZAD. 4 — ARYTMOGRAF (4 PUNKTY).
Ul. „Anerg" — czł. Kl. Szar.

Po odgadnięciu podanych wyrazów pomocniczych należy cyfry tekstu zastąpić literami, które utworzą rozwiązanie.

Tekst:

20, 2, 5, 4, 12, 24, 25 — 22, 6, 18, 12, 20, 9, 10, 19, 2 — 4, 12 — 1, 10, 11, 12 — 20, 9, 2, 5, 2 — 9 — 13, 9, 18, 12, 24, 25 — 4, 7 — 13, 9, 2, 5, 7 — 16, 5, 6, 15, 19, 18, 2, 14, 2, 1 — 14, 12 — 3, 9, 10, 8, 9, 10. — 16, 9, 10, 5, 5, 10. — 21, 10, 5, 13, 9, 4, 10.

Wyrazy pomocnicze:

1) drapieżne ptaki — 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10.
2) części gmin — 11, 5, 12, 13, 2, 14, 15.
3) formacja wojskowa — 16, 17, 18, 19.
4) dzielność, odwaga w bitwie — 20, 2, 21, 10, 22, 6, 23, 12, 24, 25

ZAD. 5. — SZARADA — JESIEŃ (2 PUNKTY).
Ul. „Rex" — czł. Kl. Szar.

Smutna stoi **piąta-ósma,**
jedna-ósma cud drzewina,
że nadchodzi jesień gnuśna,
że noc chłodna soki ścina...

Smuć się **pięto-drugo** miła,
że się nurt twój **sześć i siedem,**
że jesienna mgła spowiła
jak w gorsecik twoje głębie.

Rozkopane kartoflisko
niby **wspak dwa i wspak trzeci,**
pole jak pobojowisko
smutne w nas refleksje nieci...

Już nie **trzy-pięć** oczu naszych
siedem-czwarte *) barwy kwiecia
pierwsze-czwarte cuda krasy...
Jesień wdziera się do serca...

*) Fonetycznie.

Termin rozwiązania powyższych zadań upływa **dnia 24 października. — Ważna data stempla pocztowego.** Rozwiązania nadsyłać należy do redakcji „Głosu Narodu", pod adresem kierowniczki Działu R. U.

OBCHÓD 660-LECIA ŚMIERCI GIOTTO.

We Florencji rozpoczął się Tydzień Sztuki Kościelnej zorganizowany w związku z 600. rocznicą śmierci Giotto di Bondone, florenckiego malarza i budowniczego, który pierwszy wyzwolił sztukę włoską, w szczególności kościelną, spod wpływów sztuki bizantyjskiej. W obradach Tygodnia bierze udział przeszło sześciuset wysokich dostojników kościelnych i przedstawicieli władz świeckich. Przewodniczący Papeskiej Komisji Centralnej do spraw Sztuki Kościelnej we Włoszech, ks. prałat inż. Chiapetta, dokonał inauguracji Tygodnia, po czym przesłano depesze hołdownicze do Ojca św., króla Włoch i szefa rządu. Przemówienie inauguracyjne wygłosił kardynał Dalla Costa, arcybiskup florencki, obierając za temat „Tradycja i nowości w sztuce kościelnej". Następny referat n. t. „Wartości dawne i nowe w sztuce Giotto" wypowiedział prof. Corrado Mezzana z Papieskiej Komisji do spraw Sztuki Kościelnej.

Kupon Nr. 41/80

ważny do dnia 17 października b. r.

ŻYCIE RELIGIJNE

Przegląd spraw religijnych

Zgon Masaryka wywołał silne echa na łamach prasy i w opinii w postaci artykułów i studiów poświęconych pierwszemu Prezydentowi Czechosłowacji. Podnosi się więc jego zasługi dla narodu przed wojną i w czasie wojny, — jego mądrość, która mu kazała w r. 1935 ustąpić dobrowolnie z urzędu Prezydenta, by nie narażać państwa na wstrząs, jakiby niewątpliwie wywołała jego śmierć w trakcie pełnienia funkcyj głowy państwa, — jego stanowisko w historii nauki i myśli Europy.

Poza tym interesuje nas jeszcze stosunek Masaryka do religii... W tej sprawie ciekawe uwagi znajdujemy w periodyku „Bulletin Tchecoslovaque", przeznaczonym dla zagranicy a wydawanym przez ks. Fr. Dvornika, profesora Uniw. w Pradze.

MASARYK PRZECIW KATOLICYZMOWI.

„Masaryk — pisze ks. Dvornik — na początku swej kariery naukowej i politycznej nie uchodził za przyjaciela Kościoła katolickiego, w którym się urodził. I to pomimo, że w swej młodości dał dowody tak szczególnej gorliwości, iż — jak mówią — nawet pewną protestantkę nawrócił na katolicyzm. Nie mniej jednak pod wpływem filozofii 19. w. nie tylko przestał praktykować ale nawet wystąpił z Kościoła. Z pewnością wielką rolę w tej jego decyzji odegrało wrogie dla sprawy czeskiej stanowisko reprezentantów Kościoła katolickiego w Austrii. Być może także, że w wieku, kiedy młody człowiek dochodzi do swej samowiedzy, Masaryk, umysł bardzo krytyczny, prosty, a głęboki, nie znalazł w swym otoczeniu księdza, który by był zdolny zrozumieć go i podać mu zadowalające wyjaśnienie palących problemów, które porywały jego niespokojny umysł. Początek jego politycznej kariery był nacechowany — po co to ukrywać — prawdziwą niechęcią do Kościoła. Starsi przypominają sobie gwałtowne walki kierowane przez niego przeciw pewnym reprezentantom katolicyzmu, i surowe krytyki, czasem wprost gwałtowne, którymi mu katolicy odpowiadali".

ZAPOBIEGŁ KULTURKAMPFOWI.

Masaryk — zapewnia ks. Dvornik — nigdy nie przeszedł do obozu ateistów. Z całej wiary katolickiej została mu jednak tylko wiara w Boga osobowego i przekonanie o potrzebie zwycięstwa religijnej myśli nad myśleniem materialistycznym. Ciągle też swoim uczniom i przyjaciołom wpajał pogląd o konieczności religii, czym — pisze ks. Dvornik — znaczną część inteligencji czeskiej uratował przed popadnięciem w zupełny ateizm.

„Kiedy Masaryk — ciągnie ten sam autor — został prezydentem, zmienił znacznie swój stosunek do katolików... Za swój ideał polityczny uznał koncepcję św. Augustyna z jego „De Civitate Dei" a za motto swej książki o „Wskrzeszeniu państwa" wziął słowa: „Jezus, nie Cezar". Trzeba przyznać, że w dużej mierze jego stanowisku zawdzięczamy, iż młode państwo nie zostało rozdarte walkami antykatolickimi w pierwszych latach swego istnienia. W tym okresie, gdyby Prezydent był ateistą i wrogiem katolicyzmu, napewno w Czechosłowacji było by przyszło do rozdziału Kościoła od państwa, i państwo nasze było by dziś państwem bez Boga. Lecz Masaryk nie chciał „Kulturkampfu" a jego wpływ osobisty pokrzyżował plany jego niekatolickich wielbicieli... Wreszcie zdaje się, że Masaryk pod koniec swego życia coraz więcej zbliżał się do wiary swego dziecięctwa.

Nie jest więc rzeczą dziwną, że katolicy czeskosłowaccy okazali tak głęboką boleść z powodu śmierci Prezydenta, który — w ich oczach — był w czasach krytycznych dla narodu i Kościoła prawdziwie opatrznościowym mężem. Dzwony wszystkich kościołów katolickich opłakiwały jego zgon, zaznaczając równocześnie pogodzenie się ostateczne katolików czechosłowackich z wielkim zmarłym".

KONSEKWENTNY ATEIZM.

Wspominaliśmy w tej rubryce przed tygodniem, jak to „antyklerykali" we Francji prowadzą podwójną robotę. Raz wypierają się „antyklerykalizmu" i chcą „współpracować" z Kościołem, kiedy indziej zaś zwalczają nawet najprostsze prawa wolności Kościoła. Gdy p. Blum w wywiadzie z nie wychodzącym dziś „Sept" zapewnia, że rząd „Frontu Ludowego" realizuje wskazania encyklik społecznych, jego przyjaciel, socjalista Perceau, organizator socjalistyczno-komunistycznego nauczycielstwa, zwalcza wszelki ślad chrześcijaństwa w życiu kulturalnym Francji.

W piśmie, „Lumiere", uderza w wielki bęben z powodu, że katolickie towarzystwa kolonij wakacyjnych otrzymują czasem jakieś subwencje ze skarbu państwa. Tak, jak gdyby na ten skarb składali się sami bezbożnicy... W oparciu zaś o okólnik ministra oświaty, iż w szkołach publicznych nie wolno prowadzić „wyznaniowej propagandy", nawołuje kierownictwa szkół, by zaraz donosiły inspekcjom o takich objawach „propagandy wyznaniowej", jak rozmowy uczniów o religii. Z prawdziwą konsekwencją domaga się dalej zupełnej „laicyzacji" szpitali; wprawdzie bowiem — pisze — zakonnice nieraz „odznaczają się poświęceniem dla chorych", ale i „sekciarstwem", tj. wiernością dla katolicyzmu, czego p. Perceau nie może im darować.

BEZSILNA ZŁOŚĆ.

P. Perceau w ogóle jest przerażony „postępami klerykalizmu" we Francji. „Lud — pisze — wprawdzie głosuje na lewicowych kandydatów przy wyborach, ale zawsze mimo to kieruje nim poza wyborami prawica. Klerykali stają się z każdym dniem coraz bardziej wpływowymi".

Te ich „wpływy" upatruje w tym, że biskup z Quimpez na początku połowów morskich dokonał uroczystego poświęcenia morza, a znów jakiegoś proboszcza w dep. Loary zaproszono na otwarcie szkoły publicznej. Najbardziej jednak przeraża go wzrost religijności wśród studentów. Z nienawiścią mówi o działalności organizacji J. E. C. („Jeunesse Etudiante Catholique"), która nawet w publicznych szkołach ma swoich członków; na kierowników szkół nakłada p. Perceau obowiązek zwalczania tych objawów, jako wyznaniowej „propagandy" zakazanej przez rząd. Wreszcie z oburzeniem woła: — Co się to stało!... W r. 1919 było zaledwie 132 uczniów wyższych szkół, którzy przystąpili do spowiedzi wielkanocnej, a w r. 1936 było ich w Paryżu 18.642.

Nie można tych wystąpień traktować inaczej, jak tylko jako objaw bezsilnej złości u zaślepionego sekciarza ateizmu, który widzi, że świat coraz bardziej odwraca się od jego „ideałów"... Byłby to zatem dobry prognostyk na przyszłość.

Pejot.

Katolicy a podział Palestyny

W łączności z podziałem Palestyny, należącym dziś do najaktualniejszych zagadnień międzynarodowych, warto przytoczyć wyjątki z artykułu ogłoszonego w „Tablet" o stosunku katolików palestyńskich do sprawy podziału Palestyny.

Ani łaciński patriarcha Jerozolimy, ani franciszkański kustosz Ziemi św., nie zapytani o zdanie przez brytyjską komisję królewską, nie wypowiedzieli się oficjalnie na temat podziału Palestyny. Podział ten jednak byłby dla Kościoła przyczyną wielkich trudności. Gdyby doszło do podziału Palestyny, to na 31 podległych patriarsze parafij 28 znalazłoby się w obrębie państwa żydowskiego. Pomijając już trudności administracyjne stwierdzić trzeba, że taki stan rzeczy w dużym stopniu zaszkodziłby rozwojowi Kościoła w Palestynie, bo nie można liczyć na zbyt przychylne ustosunkowanie rządu żydowskiego czy arabskiego, zwłaszcza wobec rozwijanego przez nacjonalizm i mahometanizm fanatyzmu. Rządy mandatowe zapewniały Kościołowi pewną swobodę i umożliwiały jednolity zarząd wszystkimi gminami, z tych więc względów, nie przeoczając faktu, że i patriarcha i kustosz są Włochami, przypuszczać można, że projektowany podział Palestyny nie będzie przez nich przychylnie przyjęty.

Jeśli chodzi o katolików obrządku melchickiego, to mieszkają oni przeważnie na północy i w okolicy Haify i podlegają biskupowi Akry. W zasadzie jest on przychylnie względem Arabów usposobiony, biorąc pod uwagę wzrastające w swej diecezji wpływy żydowskie, których rozwój właśnie o jego ustosunkowaniu do Arabów zadecydował. Według brytyjskiego planu podziału 90% katolików obrz. melchickiego znalazłoby się w państwie żydowskim, tak, że biskupowi Akry groziłoby zostanie „in partibus infidelium". Przeprowadzenie przewidzianej przez projekt komisji masowej emigracji ludności arabskiej z terenu państwa żydowskiego pozbawiłoby biskupa w zupełności kontaktu z wiernymi. Kościoły miast takich jak Kana, Nazaret, Tabor stałyby się tylko zabytkami. Komisja skłania się najwyżej do uznania międzynarodowych praw do miejsc świętych. Chrześcijaństwo w Palestynie ma się stać tylko muzealnym zabytkiem.

Powstaje dla chrześcijan palestyńskich niebezpieczeństwo, że pod wpływem propagandy nacjonalistycznej chrześcijanie, pozbawieni własnej partii politycznej, pochłonięci zostaną przez nacjonalizm arabski i z czasem uznają Muftiego za swego wodza politycznego, stosunki bowiem powojenne wytworzyły w Palestynie tego rodzaju sytuację, że klasyfikuje się mieszkańców dziś tylko na podstawie ich przynależności narodowej, co jest w wielkiej mierze wynikiem polityki brytyjskiej.

Z obcej niwy

Wychowanie bez sankcji religijnej

„Miliony dolarów wyrzucamy corocznie na wychowanie naszych dzieci a wszystkie nasze usiłowania kończą się dotąd zupełnym niepowodzeniem".

Słowa te wypowiedział do przedstawicieli prasy amerykańskiej milioner James Hill, nie katolik, a przypominają się obecnie w związku z odczytem, jaki ostatnio wygłosił przez radio biskup Buffalo, mons. Duffy. Odczyt ten, z którego obszerne sprawozdanie zamieszcza „Osservatore Romano" z 4go października b. r. w artykule: „Wychowanie ze stanowiska chrześcijańskiego" głośnym echem odbił się w całej prasie amerykańskiej; porusza bowiem problem t. zw. „sumienia naukowego", t. j. sumienia, jako normy wychowawczej, pozbawionego sankcji nadprzyrodzonej, a opierającego się wyłącznie na zdobyczach wiedzy. Zachodzi pytanie, czy takie „sumienie naukowe" może stanowić podstawę dla wychowania człowieka?

...Problem ten usiłował rozstrzygnąć m. in. słynny pedagog Fr. Förster.

„Kto zna życie — pisał on — wie, jak mało głębszych pierwiastków wychowawczych posiada sama wiedza, wie, że taka wiedza może nawet szkodzić i służyć tylko próżności, jeśli przy nauczaniu nie stosuje się również kształcenia charakteru. Dlatego więc wychowawca, który uczy czytać i pisać, winien dbać także o prawdziwe wewnętrzne wykształcenie człowieka." („Wychowanie człowieka", t. III).

To samo stwierdza głośny socjolog angielski Beniamin Kidd (1858—1916). Jego zdaniem przyczyną katastrofy światowej, która wybuchła w roku 1914, był wyłączny postęp w dziedzinie wiedzy i rozwoju intelektualnego z wyłączeniem religii i moralności chrześcijańskiej.

„Nadejdzie czas — mówi Kidd — kiedy spostrzeżemy, że główny błąd wychowawców w kierunku intelektualnym polegał na utożsamianiu postępu w dziedzinie nauki z postępem w dziedzinie cywilizacji" (The Science of Power, p. 82). „Tylko religia — zdaniem Kidda — ze swoją sankcją nadnaturalną, ze swoją obietnicą zmartwychwstania wzamian za krzyż ofiarny, tworzy potężną dźwignię w wychowaniu. Chrystianizm jest siłą najwyższą, jaka kiedykolwiek wpływała na ukształtowanie świadomości, uczucia i woli człowieka, gdyż religia — powiada Kidd — nie tylko poucza człowieka o tym, jak ma on umrzeć, lecz także uczy go, jak ma żyć" (Social Evolution, p. 14).

Czym jest wychować człowieka w znaczeniu chrześcijańskim? Na to pytanie daje m. in. odpowiedź E. Duthoit, prezes francuskich „Tygodni społecznych".

„Wychować człowieka — mówi on — to znaczy sprawić, by wzniósł się on ponad siebie samego, aż do Boga; to znaczy wydobyć, obudzić potencjał... W wychowaniu chrześcijańskim przyroda i nadprzyrodzoność wzajem się przenikają". (Ordre social et education", p. 63).

Sankcja naukowa w wychowaniu nie wystarcza. Już prof. Struve w swym „Wstępie krytycznym do filozofii" zwrócił na to uwagę, że nauka nie jest jakąś boginią, ani prawodawcą... Ona jest tylko zbiorem mniej lub więcej uzasadnionych poglądów, zdań, teorii, wygłaszanych przez różnych uczonych. Dlatego najwznioślejsza nawet filozofia nie może zastąpić religii, która zawiera prawdy niewzruszone. Rozumiał konieczność sankcji nadprzyrodzonej w wychowaniu b. prezydent Stanów Zjednoczonych, Coolidge, który w taki sposób określił zadanie wychowawcze szkoły:

„Powinniśmy robić wszystko, by zdobywać tę wiedzę, która wiąże nas z wiecznością. Cała nasza wiedza, wszystkie nasze sztuki nie będą oznaczały dla naszego kraju prawdziwego postępu, jeśli nie będą mogły dać nam kultury moralnej".

Jest to problem bardzo aktualny i w naszych warunkach, gdzie niejednokrotnie przecenia się znaczenie kultury umysłowej dla ugruntowania istotnej wartości człowieka. Brak równowagi między zdobytą wiedzą, a nieukształconym charakterem wytwarza tragedię życiową. Człowiek wiedzy bez zalet serca i ze spaczoną wolą może się okazać większym szkodnikiem, niż człowiek pozbawiony nauki, ale posiadający równowagę charakteru. W ostatecznej rozgrywce życia przy urabianiu światopoglądu, przy zdobywaniu wiedzy człowiek musi się natknąć na pytania związane z głosem sumienia i o celu życia i jego wartości. Bez sumienia nauka — oto dramat nowoczesnej cywilizacji. Stąd wniosek, że wychowankami w szkole powinni być ludzie, nie tylko obdarzeni taką, czy inną sumą wiadomości, nie tylko ludzie odpowiedniej nauki, ale jednocześnie ludzie silnego i szlachetnego charakteru, ludzie o wrażliwym i zdrowym sumieniu.

Już Klemens Aleksandryjski pisał:

„Człowiek, wychowany bez sankcji religijnej, w dwudziestym roku życia jest pawiem, w trzydziestym — lwem, w czterdziestym — wielbłądem, w pięćdziesiątym — wężem, w sześćdziesiątym — małpą, a w ośmdziesiątym — niczym" (por. De Faye: „Clément d'Alex.", p. 198).

Wizje sowieckiego raju

Tygodnik literacko - społeczny „Grin goire" w swym ostatnim numerze z dnia 24 września br. zamieszcza krótki lecz ciekawy artykuł pt. „Wizje sowieckiego raju", w którym opisuje wrażenie turystów francuskich, przybyłych do Leningradu na statku „Colombie". W wycieczce tej wzięli udział przedstawiciele świata intelektualnego i artystycznego oraz parę osobistości politycznych.

„Natychmiast po przybyciu — pisze „Gringoire" — przewodniczki sowieckie zaprowadziły turystów do antyreligijnego muzeum leningadzkiego. Ku zdziwieniu swemu i zgorszeniu francuscy goście ujrzeli na samym wstępie olbrzymich rozmiarów posąg, mający podniecić uczucia antyreligijne tłumów i przekonać zwiedzających, że katolicyzm jest przyczyną wszelkich wojen. Rzeźbiarz chcąc w tym duchu zasugestionować tłumy przedstawił papieża, siedzącego konno na armacie. Gdy turyści głośno dawali wyraz swemu zgorszeniu nad ordynarnością i brutalnością pomysłu i wykonania, przewodniczka rzekła: Nasze muzea antyreligijne doskonale przyczyniają się do wielkiego dzieła wyzwolenia umysłów. Nawet słowo Bóg już u nas nie istnieje, nie ma go w ogóle w języku rosyjskim i jeśli się to słowo wypowie wobec Rosjanina, nie zrozumie go.

Podczas zwiedzania muzeum Ermitażu, posiadającego — jak wiadomo — wspaniałą kolekcję obrazów, jedna z turystek zatrzymała się przed jednym z portretów Rubensa, chcąc naszkicować pewien detal z uczesania sportretowanej renesansowej damy. Turystkę tę momentalnie aresztowano i trzeba było długich pertraktacyj i interwencyj, aby odzyskała znów wolność".

„Na każdym kroku — pisze dalej „Grin goire" — czekały francuskich gości niespodzianki. Przede wszystkim tłum sowiecki — obojętna bezkształtna masa. Rosja stała się olbrzymim stadem. Wrażenie takie wywoływał zwłaszcza popis awiacji sowieckiej koło Moskwy w dniu 18 sierpnia. Samoloty latały nad głowami zgromadzonych tłumów. Do każdego aparatu był przymocowany olbrzymich rozmiarów portret Lenina i Stalina. Tłumy zalegały błonia i milczały. Ani jednego oklasku. Ani jednego spontanicznego okrzyku! Nic. Milczenie. Cisza. Dziwny jest tłum w Sowietach, dziwni są tam ludzie. Gdy się kogoś o coś spytać odpowiedź jest zawsze ta sama: nie wiem. Lęk, blady strach opanował Rosję".